

**JOSEPH
CONRAD**

LORD JIM, TOM
PIERWSZY

Joseph Conrad

Lord Jim, tom pierwszy

«Public Domain»

Conrad J.

Lord Jim, tom pierwszy / J. Conrad — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Tom pierwszy	5
Przedmowa autora	5
Rozdział pierwszy	7
Rozdział drugi	10
Rozdział trzeci	13
Rozdział czwarty	18
Rozdział piąty	21
Конец ознакомительного фрагмента.	30

Joseph Conrad

Lord Jim Tom pierwszy

Tom pierwszy

Przedmowa autora

Gdy powieść ta po raz pierwszy ukazała się w druku, rozeszła się pogłoska, że jej temat mię poniósł. Niektórzy z recenzentów utrzymywali, iż utwór, pomyślany z początku jako nowela, rozrósł się wbrew intencjom autora. Paru krytyków odkryło i w treści książki stwierdzenie tego faktu, który wydał im się zabawny. Wskazywali na granice zakreślone formie narracyjnej. Dowodzili, iż nikt nie mógłby przez tak długi czas opowiadać ani też słuchać tak długo. Uważali, że to nie jest zbyt wiarygodne.

Myślałem nad tą sprawą przez jakieś szesnaście lat i nie zdaje mi się, aby owi krytycy mieli słuszność. Wiadomo, że – i pod zwrotnikami, i w klimacie umiarkowanym – ludzie siadają nieraz późno w noc, „snując opowieści”. Wprawdzie *Lord Jim* jest tylko jedną opowieścią, ale zachodzą w niej przerwy dające możliwość odpoczynku; a jeśli chodzi o wytrzymałość słuchaczy, trzeba przyjąć założenie, że opowieść **była** zajmująca. Jest to hipoteza zasadnicza i konieczna. Gdybym nie uważał tej historii za interesującą, nie mógłbym zacząć jej pisać. Co się zaś tyczy fizycznej możliwości jej opowiedzenia, wszyscy wiemy, że zdarzały się mowy w parlamencie trwające blisko sześć godzin; tymczasem całą część książki, która stanowi opowiadanie Marlowa, można przeczytać głośno – powiedzmy – w mniej niż trzy godziny. Przy tym omijałem starannie wszystkie błahe szczegóły w powieści, należy więc przypuszczać, że owego wieczoru podawano jakieś orzeźwiające napoje – na przykład szklankę wody mineralnej od czasu do czasu – co ułatwiało Marlowowi opowiadanie.

Ale – mówiąc poważnie – prawdą jest, że mym pierwotnym zamierzeniem była nowela mająca za temat tylko statek z pielgrzymami – i nic więcej. Był to pomysł zupełnie uzasadniony. Napisałem kilka stron, które mnie z jakiegoś powodu nie zadowolily, i na pewien czas odłożyłem pracę. Nie wyjmowałem tych kartek z szuflady, póki mi nieżyjący już William Blackwood nie przypomniał, iż powinienem dać coś znowu do jego przeglądu.

Dopiero wtedy sobie uświadomiłem, że epizod ze statkiem wiozącym pielgrzymów jest dobrym punktem wyjścia dla swobodnej, rozległej opowieści; że przy tym wypadek tego rodzaju mógłby z całym prawdopodobieństwem na całe życie zaważyć na „samopoczuciu” prostego i głęboko czującego człowieka. Ale z tych wszystkich przedwstępnych nastrojów i poruszeń ducha słabo zdawałem sobie wówczas sprawę, a i teraz nie wydaje mi się to jaśniejsze po upływie tylu lat.

Owych kilka kartek, które odłożyłem, nie były dla mnie bez znaczenia przy wyborze tematu. Lecz wszystko zostało z rozwagą napisane na nowo. Gdy zasiadłem do pracy, wiedziałem, że będzie to długa książka, choć nie sądziłem, że się rozciągnie aż na trzynaście numerów przeglądu.

Zapytywano mię nieraz, czy *Lord Jim* jest najulubieńszą mą książką. Jestem wielkim wrogiem wszelkiego faworyzowania tak w życiu publicznym, jak i prywatnym, a nawet w delikatnej dziedzinie stosunku autora do własnych dzieł. Z zasady nie chcę mieć ulubieńców; nie posuwam się jednak tak daleko, aby mię gryzło lub martwiło, gdy niektórzy dają pierwszeństwo *Lordowi Jimowi*. Nie powiedziałbym nawet, że „to jest dla mnie niezrozumiałe”... Nie! Jednakże raz usłyszałem coś, co zdumiało mnie i zaniepokoiło.

Jeden z moich przyjaciół, bawiąc we Włoszech, rozmawiał tam z pewną panią, której się *Lord Jim* nie podobał. Przykre to oczywiście, ale co mię zaskoczyło, to przyczyna jej niechęci do książki. „Wie pan – powiedziała – tam wszystko jest takie chorobliwe”.

Orzeczenie to dało mi materiał do niespokojnych rozmyślań na jaką godzinę. Doszedłem ostatecznie do wniosku, że wzięwszy nawet pod uwagę okoliczności łagodzące – bo sam temat jest raczej obcy dla przeciętnej kobiecej wrażliwości – owa pani nie mogła być Włoszką. Ciekaw jestem, czy była w ogóle Europejką. W każdym razie łaciński temperament nie mógłby dostrzec nic chorobliwego w dotkliwym poczuciu utraconego honoru. Takie poczucie może być słuszne albo niesłuszne, można je też potępić jako sztuczne; możliwe, iż ludzi podobnych do mego Jima często się nie spotyka. Ale mogę z czystym sumieniem zapewnić swych czytelników, że Jim nie jest owocem chłodnych spekulacji myślowych. Nie jest również wytworem północnych mgieł. Ujrzałem raz słonecznym rankiem, jak szedł wśród zwykłego otoczenia wschodniej przystani – wzruszający, wymowny, tajemniczy... i niemy.

Takim właśnie powinien być mi się wydać. A do mnie już należało – z całym współczuciem, do jakiego byłem zdolny – znaleźć odpowiednie słowa dla wyrażenia jego istoty. Był to „jeden z nas”.

J. C.

Rozdział pierwszy

Brakował mu cal – może dwa – do sześciu stóp wzrostu, był potężnie zbudowany, a gdy siedł prosto na kogoś, patrząc nieruchomo spode łba, z pochylonymi nieco plecami i wysuniętą głową, przypominał nacierającego byka. Głos miał głęboki, donośny; z zachowania jego przebijała jakby uparta pewność siebie, w której nie było nic agresywnego. Zdawało się, że ta pewność siebie jest nieunikniona, że się przejawia nie tylko w stosunku do innych, ale i do niego samego. Był nieskazitelnie czysty, ubrany w niepokalaną biel od trzewików aż do kapelusza, i w przeróżnych wschodnich portach, gdzie zarabiał na życie jako agent okrętowego dostawcy, bardzo był popularny.

Agent nie potrzebuje zdawać egzaminów z żadnego przedmiotu, ale musi posiadać zdolność kombinowania i wykazywać ją w czynie. Praca jego polega na ściganiu się łódką – żaglową, parową lub poruszaną za pomocą wiosła – z innymi agentami; chodzi o to, aby wyprzedzić wszystkich, dopaść okrętu, nim go zakotwiczą, przywitać się wesoło z kapitanem, wetknąć mu kartę – anons dostawcy okrętowego – gdy zaś kapitan wysiądzie na brzeg, zaprowadzić go niepostrzeżenie, lecz stanowczo do obszernego sklepu, przypominającego jaskinię pełną produktów, które się jada i pija na okręcie; można się tam zaopatrzyć we wszystko, co czyni statek pięknym i zdolnym do podróży: zarówno w komplet haków linowych, jak i książeczkę z pozłotą do rzeźbionych ozdób steru; a w sklepie tym dostawca okrętowy wita po bratersku szypra, choć go nigdy przedtem nie widział. Czeka tam na gościa chłodny gabinet, fotele, napoje, cygara, przybory do pisania, egzemplarz przepisów portowych i ciepłe powitanie, które roztopia sól nagromadzoną w sercu marynarza podczas trzymiesięcznej podróży. Póki okręt przebywa w porcie, agent podtrzymuje przez codzienne odwiedziny nawiązane w ten sposób stosunki. Wierny jest kapitanowi jak przyjaciel, pełen synowskiej uwagi, a odznacza się przy tym cierpliwością Joba, altruistycznym oddaniem kobiety i wesołością dobrego kompana. Później posyła się dowódcy statku rachunek. Piękne to i humanitarne zajęcie. Toteż dobrzy pracownicy w tym fachu trafiają się rzadko. Gdy agent posiadający zdolność kombinowania ma w dodatku tę wyższość, że się zna z morzem, wówczas przynosi swemu chlebodawcy moc pieniędzy i zasługuje na względy. Jim zawsze miał dobrą pensję, a okazywano mu tyle względów, że można było za nie kupić wierność skończonego wroga. Tymczasem z czarną niewdzięcznością rzucał nagle swoje zajęcie i wyjeżdżał. Przyczyny, które podawał chlebodawcom, były oczywiście niedostateczne. Mówili o nim: „Dureń, psiakrew”, z chwilą gdy się odwrócił do nich plecami. Takie było ich zdanie o niezmiernej wrażliwości tego człowieka.

Dla białych ludzi pracujących w porcie i dla kapitanów różnych statków był po prostu Jimem – i niczym więcej. Miał naturalnie i nazwisko, ale chodziło mu o to, aby tego nazwiska nie wymieniano. Incognito Jima – dziurawe jak rzeszoto – miało ukrywać nie człowieka, lecz fakt. Kiedy ów fakt wychodził na jaw, Jim opuszczał nagle morski port, gdzie się wówczas znajdował, i udawał się do innego – zwykle dalej na wschód. Trzymał się portów, ponieważ był marynarzem wygnanym z morza i posiadał zdolność kombinowania nadającą się wyłącznie do zajęcia morskiego agenta. Cofał się w porządku ku wschodzącemu słońcu, a ów fakt doganiał go nieodwołalnie, wcześniej lub później. I tak w ciągu lat znano Jima kolejno w Bombaju, Kalkucie, Rangunie, Penangu, Batawii – i na każdym z tych postojów był tylko Jimem, agentem dostawcy okrętowego. Później, gdy zdał sobie jasno sprawę, że dłużej tego nie wytrzyma, opuścił na zawsze porty i białych ludzi, usuwając się aż w głąb dziewiczego lasu, i wówczas to Malaje ze wsi leżącej wśród dżungli – gdzie postanowił ukryć swe niefortunne zdolności – przyłączyli drugie słowo do jego jednozgłoskowego incognito. Nazwali go: Tuan Jim, co znaczy mniej więcej: Lord Jim.

Urodził się na probostwie. Wielu dowódców pięknych statków handlowych pochodzi z tych przybytków spokoju i pobożności. Ojciec Jima posiadał ową wiedzę o Niewiadomym, stworzoną dla bogobojnych mieszkańców chat i nie mącąca spokoju ducha tym, którym nieomylna Opatrzność pozwala mieszkać w pałacach. Mały kościółek na wzgórzu przypominał w swej omszałej szarości

skąłę za postrzępioną zastoną z gałęzi. Stał na tym miejscu już od stuleci, a drzewa wokół niego pamiętały zapewne chwilę, gdy kładziono kamień węgielny. Poniżej jaśniał ciepłą barwą czerwony front probostwa wśród trawników, klombów i jodeł, z sadem od tyłu, brukowanym podwórzem na lewo i pochyłymi szybami oranżerii, wspierającymi się o ścianę z cegieł. Probostwo należało do rodziny już od pokoleń; Jim był jednym z pięciu synów, a gdy przy końcu wakacji – w czasie których naczytał się lekkiej literatury – ujawniło się jego powołanie do służby na morzu, wysłano go od razu na „statek szkolny dla oficerów marynarki handlowej”.

Nauczył się tam brasowania górnych rei i trochę trygonometrii. Lubiano go ogólnie. Był trzecim w nawigacji i nadawał tempo wiosłując w pierwszym kutrze. Nie podlegał zawrotom głowy, a że miał przy tym bardzo silny organizm, wykazał dużo zręczności w pracy na masztach. Miał stanowisko manewrowe na marsie przedniego masztu. Patrzył stamtąd często w dół z pogardą człowieka, który ma błysnąć odwagą wśród niebezpieczeństw; ogarniał wzrokiem spokojne skupisko dachów, przecięte na dwoje brunatnym nurtem rzeki, i kominy fabryczne rozsiane po skraju okolicznej równiny, wznoszące się prostopadle na tle brudnego nieba; każdy z nich był smukły jak ołówek i zionął dymem jak wulkan. Jim mógł także oglądać odjazd wielkich okrętów, promy o szerokich belkach, sunące bez przerwy, małe czółenka hen, nisko pod stopami – a w oddali mglistą wspaniałość morza i nadzieję bujnego życia w świecie przygód.

Na niższym pokładzie wśród rozgwaru dwóchset głosów zapamiętywał się często, zawczasu przeżywając myślą życie marynarza na modłę lekkich powieści. Wyobrażał sobie, że ratuje ludzi z tonących okrętów, rąbie maszty wśród huraganu, że płynie u końca liny przez wzburzone fale; to znów zdawało mu się, iż jest samotnym rozbitkiem, półnagim i bosym, i chodzi po gołych skałach szukając skorupiaków, aby odpędzić śmierć głodową. Stawiał czoło dzikim na podzwrotnikowych wybrzeżach, uśmierzał bunty na pełnym morzu i w drobnym czółenku wśród oceanu budził ducha w zrozpaczonych ludziach – będąc zawsze wzorem obowiązkowości – niezłomny jak bohater z książki.

– Coś się tam stało. Chodźcie no!

Skoczył na równe nogi. Chłopcy wspinali się po drabinach. Na górnym pokładzie słychać było gwałtowną bieganinę i krzyki, a gdy Jim wy dostał się przez luk, stanął jak wryty w oszołomieniu.

Był zmierzch zimowego dnia. Wicher wzmagął się już od południa, zatrzymując ruch na rzece, i dął teraz z siłą huraganu; jego wybuchy grzmiały jak salwy wielkich armat nad oceanem. Deszcz ciał ukośnymi pasmami, które to siekły, to znikały, a od czasu do czasu odsłaniał się na chwilę przed Jimem groźny widok kotłującego się nurtu, drobny stateczek podrzucany falami, miotający się wzdłuż brzegu, nieruchome budynki wśród pędzącej mgły, szerokie promy rozkołysane ciężko na kotwicy, obszerne pływające pomosty, które bujały się w górę i w dół, przesłonięte bryzgami. Każdy następny poryw wichru zdawał się zmiatać to wszystko. Powietrze było pełne lecącej wody. Czuło się jakąś dziką celowość burzy, wściekłą zawziętość w huku wiatru, w brutalnym zgiełku ziemi i nieba; Jim miał wrażenie, iż to wszystko zwraca się przeciw niemu, i trwoga zapała mu oddech. Stał bez ruchu. Zdawało mu się, że go wir jakiś porywa.

Potrącano go. „Kuter na wodę!” Chłopcy przebiegali koło niego. Przybrzeżny statek, chcąc się schronić u lądu, zderzył się z zakotwiczonym szkunerem; jeden z instruktorów okrętu był świadkiem tego wypadku. Chłopcy włązili tłumnie na balustradę, czepiali się gromadnie żurawików szalupowych. „Zderzenie. Tuż przed nami. Pan Symons widział”. Ktoś pchnął Jima, który zatoczył się na trzeci maszt i chwycił jakiejś liny. Stary statek szkolny, przycumowany do beczki kotwicznej, dygotał cały, chyląc łagodnie dziób w stronę wiatru, a skąpy takielunek statku nucił głębokim, zdyszczanym basem pieśń o jego młodości na oceanie.

„Na dół kuter!” – Jim ujrzał łódź z ludźmi opadającą szybko, za burtę i rzucił się ku niej. Usłyszał plusk. „Puszczaj! Wyhaczyc kuter!” Wychylił się za barierę. Rzeka wzdłuż statku wrzała pianistymi smugami. Dostrzegł wśród zapadających ciemności, że kuter miota się na jednej linii z okrętem, jakby urzeczony przez prąd i wiatr, które przez chwilę osadziły go na miejscu. Jim usłyszał niewyraźnie głos wrzeszczący na kutrze: „Równno, szczeniaki, jeśli chcecie kogoś wyratować!”

Równy!” A łódź wzniosła nagle dziób wysoko i skoczyła na bałwan z podniesionymi wiosłami, wyłamując się spod czaru rzuconego przez wiatr i prąd.

Jim poczuł, że ktoś chwyta go mocno za ramię. „Za późno, chłopcze”. Kapitan statku położył hamującą dłoń na Jimie, który – zdawało się – już, już skoczy za burzę. Chłopiec spojrział na kapitana z bólem świadomej porażki w oczach. Kapitan uśmiechnął się życzliwie. „Następnym razem będziesz miał więcej szczęścia. To cię nauczy szybkiej decyzji”.

Wesoły okrzyk powitał kuter, który wracał, tańcząc po falach, napełniony do połowy wodą, z dwoma wyczerpanymi ludźmi miotanymi po belkach dna. Groźny huk wichru i morza wydał się Jimowi godny pogardy, zwiększając jego żal, że się dał zastraszyć ich pogrożkom. Teraz już wiedział, co myśleć o tym wszystkim. Zdawało mu się, że burza nic a nic go nie obchodzi. Mógłby stawić czoło większym niebezpieczeństwom. I uczyni to – lepiej niż wszyscy inni. Nie czuł już ani odrobiny strachu. Jednak tego wieczoru trzymał się chmurnie na stronie, podczas gdy dziobowy kutra – chłopiec z dziewczęcą twarzą i wielkimi szarymi oczami – był bohaterem dolnego pokładu. Zapaleni słuchacze tłoczyli się wkoło niego, a on opowiadał:

– Widziałem tylko jego głowę wynurzającą się raz po raz i cisnąłem bosak do wody. Uwiąż w jego spodniach; myślałem, że wypadnę za burzę, i rzeczywiście ledwie nie wyleciałem, tylko że stary Symons puścił ster i złapał mię za nogi – łódka o mało co nie poszła na dno. Stary Symons to byczy staruszek. Gderze na nas, ale niech go tam. Kłął na mnie przez cały czas, co mię trzymał za nogę, ale chciał tylko dać mi do zrozumienia, że nie wolno mi puścić bosaka. Stary Symons okropnie jest porywczy, prawda? Nie, to nie ten mały blondyn, tylko ten dryblas z brodą. Kiedyśmy go wciągali, jęczał: „Oj, noga, noga! Oj, moja noga!”, i przewracał oczami. Pomyślcie tylko, taki wielki drab i mdlał jak dziewczyna! Czyby który z was zemdłał, gdyby go dziabnął bosakiem? Ja bym tam nie zemdłał. Bosak wszedł mi w nogę – o tyle. – Pokazał bosak, który przyniósł na dół w tym celu, i wywarł szalone wrażenie. – Ależ nie, cóż za bzdura! Bosak trzymał go za spodnie, nie za ciało. Tylko że naturalnie krew się lała okropnie.

Jim uznał to za nędzny popis próżności. Burza wywołała bohaterstwo równie pozorne jak jej udana groza. Jim był zły na brutalny zgiełk ziemi i nieba, ponieważ zaskoczył go znienacka i chytrze przeszkodził szlachetnemu popędowi do ratowania ludzi z groźnego niebezpieczeństwa. Skądinąd cieszyło go raczej, że się nie dostał do kutra, skoro pośledniejszy czyn wystarczył w danym wypadku. Jim pogłębił swe doświadczenie bardziej niż ci, którzy wykonali to zadanie. Dopiero gdy się wszyscy cofną ze strachu, wówczas – czuł to niezbitie – on jeden potrafi zachować się jak należy wobec czczych gróźb wiatru i morza. Wiedział, co ma o nich myśleć. Oglądane chłodnym okiem wydawały mu się godne wzgardy. Nie mógł już w sobie wykryć ani śladu wzburzenia i ostateczny skutek owego wstrząsającego wypadku był taki, że Jim – nie zauważony przez nikogo i trzymający się na uboczu od hałaśliwej rzeszy chłopaków – rozkoszował się wzmożonym poczuciem swej wszechstronnej odwagi i żądry przygód.

Rozdział drugi

Po dwóch latach szkolenia wyruszył na morze i dostawszy się w strefy tak dobrze znane swej wyobraźni, uznał, że są dziwnie z przygód wyjąłowane. Odbił wiele podróży. Poznał czarodziejską monotonię istnienia między niebem a wodą; musiał znosić ludzką krytykę, twarde wymagania morza i poziomą surowość codziennej roboty, która daje chleb – i której jedyną nagrodą jest doskonała miłość pracy. Ta nagroda go omijała. Ale cofnąć się nie mógł, gdyż nic tak nie nęci, nie rozczarowuje i nie przykuwa jak życie na morzu. Poza tym przyszłość Jima zapowiadała się korzystnie. Był dobrze wychowany, spokojny, zgodny, znał dokładnie swe obowiązki; i niebawem, jeszcze jako bardzo młody chłopiec, został pierwszym oficerem na pięknym statku, nie doświadczywszy nigdy tych wydarzeń na morzu, które dobywają na jaw wewnętrzną wartość człowieka, uwydatniają prawdziwe cechy jego usposobienia i rdzeń charakteru, które ukazują stopień jego odporności i tajną prawdę ukrytą pod pozorami – nie tylko innym, ale i jemu samemu.

Tylko raz jeden przez cały ten czas Jim dojrzał znów przebłysk zawziętości w gniewie morza. Ta prawda nie przejawia się tak często, jakby można było przypuszczać. Jest wiele odcieni w niebezpieczeństwie przygód i burz i tylko niekiedy oblicze faktów zdradza ponurą, gwałtowną celowość – to coś nieokreślonego, co narzuca umysłom i sercom przekonanie, że pewien splot wypadków lub furia żywiołu spada na człowieka ze złośliwą premedytacją, z nieogarnioną siłą, z rozpetanym okrucieństwem, które chce wydrzeć człowiekowi jego nadzieję i jego strach, ból jego zmęczenia i tęsknotę za wypoczynkiem; które chce zmiażdżyć, zniszczyć, unicestwić wszystko, co widział, znał, kochał, czym się cieszył, czego nienawidził, wszystko, co jest potrzebne i bezcenne – blask słońca, wspomnienia, przyszłość; które chce zmieść doszczętnie sprzed jego oczu cały drogocenny świat przez prosty i przerażający akt – przez zabranie mu życia.

Na samym początku tygodnia (o którym kapitan Jima, Szkot, zwykł był opowiadać: „Mówię wam, ludzie, to cud prawdziwy, że statek przeżył to wszystko!”) Jim został ugodzony spadającą reją; spędził wiele dni leżąc na wznak, ogłuszony, poturbowany, pełen zwątpienia i udreki, jakby na dnie niespokojnej otchłani. Wszystko mu było jedno, jak się to skończy, a w chwilach przytomności przeceniał swą obojętność. Niebezpieczeństwo, kiedy go się nie widzi, ma mglistą nieokreśloność ludzkiej myśli. Trwoga staje się mętna; nie podsycana niczym wyobraźnia – wróg ludzi, źródło wszelkiej grozy – układa się do spoczynku w duszy stępiełej od nadmiaru wzruszeń. Jim widział tylko rozgardiasz w swej roztrzęsionej kabinie. Leżał tam, przykuty do miejsca wśród ciasnoty i spustoszenia, i czuł się w głębi ducha szczęśliwy, że nie potrzebuje wyjść na pokład. Ale od czasu do czasu niepokonany napad trwogi chwycił go za gardło, tak że brakowało mu tchu i wił się pod kocami; bezsensowna brutalność istnienia, poddająca ludzi takim katuszom, napępiała go rozpaczliwą żądzą, aby się za wszelką cenę ocalić. Potem wróciła piękna pogoda i więcej już o tym nie myślał.

Jednakże kulał wciąż jeszcze, a gdy okręt przybył do jednego ze wschodnich portów, musiał iść do szpitala. Wraczał do zdrowia bardzo powoli, przeto pozostawiono go w porcie.

Poza Jimem było tylko dwóch pacjentów w oddziale dla białych: płatnik z kanonierki, który złamał nogę spadłszy do luku, i jakiś niby dostawca kolejowy z sąsiedniej prowincji, dotknięty tajemniczą chorobą podzwrotnikową; uważał doktora za osła i oddawał się potajemnie leczeniu różnymi specyfikami, które jego służący, Tamil, przemycał z niezmordowanym poświęceniem. Pacjenci opowiadali sobie nawzajem historię swego życia, grali trochę w karty lub też, ubrani tylko w pidżamy, wylegiwali się całymi dniami na leżakach ziewając i nie mówiąc do siebie ani słowa. Szpital stał na wzgórzu; lekki powiew, wchodzący przez okna otwarte zawsze na oścież, niósł do pustych pokoi łagodność nieba, omdlałość ziemi, czarowny oddech wschodnich wód. Były w nim jakieś aromaty, zapowiedź bezgranicznego spoczynku, dar snutych bez końca marzeń. Jim spoglądał co dzień ponad gąszcz ogrodów, ponad dachy miasta i kępy palm rosnących na brzegu, na tę przystań,

która jest szlakiem na wschód, na przystań oświetloną radosnym słońcem – z wieńcem wysepek, z okrętami jak zabawki – wspaniałą i ruchliwą niby świąteczne widowisko pod wiecznie pogodnym niebem, pośród uśmiechniętego spokoju wschodnich mórz ogarniających przestrzeń aż do horyzontu.

Z chwilą gdy Jim mógł już chodzić bez laski, zeszedł do miasta i zaczął szukać jakiejś okazji, aby wrócić do kraju. Nic mu się wówczas nie nastreczyło, czekał więc obcując, naturalnie, w porcie z ludźmi swego zawodu. Dzielili się oni na dwa rodzaje. Jedni, bardzo nieliczni i rzadko tam widywani, wiedli tajemniczy żywot, odznaczali się nieposkromioną energią, temperamentem korsarzy i mieli marzycielskie oczy. Żyli jak gdyby w obłąkanym labiryncie planów, nadziei, niebezpieczeństw przedsięwzięć, w awangardzie cywilizacji, wśród mało znanych zakątków morza; śmierć była w ich fantastycznych egzystencjach jedynym wydarzeniem, które się wydawało dorzeczne i pewne. Przeważnie byli to ludzie rzućeni tam przez przypadek – jak Jim – którzy pozostali na miejscu w charakterze oficerów na statkach krajowych. Mieli wstręt do służby na okrętach europejskich, w trudniejszych warunkach, służby nacechowanej surowszym pojęciem obowiązku, grożącej ryzykiem burzliwych przepraw przez oceany. Zestroili się z wiecznym spokojem wschodniego nieba i mórz. Lubowali się w krótkich podróżach, wygodnych leżakach na pokładzie, licznych załogach złożonych z krajowców i wyróżnieniu, które należy się białym. Myśl o ciężkiej pracy przejmowała ich dreszczem; wiedli wygodne życie z dnia na dzień, gotowi zawsze rzucić jeden statek i przenieść się na drugi, służąc Chińczykom, Arabom, Metysom – byliby służyli chętnie i diabłu, gdyby dał im dość wygodne warunki. Rozmawiali bez ustanku o przeróżnych szczęśliwych zdarzeniach; jak to taki a taki został kapitanem statku na chińskim wybrzeżu – świetna służba; temu znów trafiło się dogodne miejsce gdzieś w Japonii, a tamtemu powodzi się świetnie w syjamskiej marynarce; we wszystkim zaś, co mówili – w ich czynach, w ich wyglądzie, w ich osobach – można było wykryć jakieś słabe miejsce, znamię upadku, upartą chęć, aby przeproźnować życie w spokoju.

Ta plotkująca czereda, oglądana oczyma marynarza, wydała się zrazu bardziej nierealna od zbiorowiska cieni. Ale z czasem urzekł Jima widok tych ludzi, którym zdawało się tak dobrze powodzić, choć narażali się w bardzo małym stopniu na niebezpieczeństwo i ciężką pracę. Obok pierwotnej pogardy rozwinęło się z wolna w Jimie inne uczucie; i nagle, zaniechawszy powrotu do kraju, zaciągnął się jako główny oficer na statek „Patna”.

„Patna” był to miejscowy parowiec, stary jak świat, smukły jak chart i bardziej zżarty przez rdzę od wysłużonej kadzi żelaznej. Właścicielem „Patny” był Chińczyk, dzierżawcą Arab, a dowodził nią pewien Niemiec, renegat z Nowej Południowej Walii, bardzo pochopny do publicznego wymyślania na swój kraj rodzinny; miał fioletowy nos i rude wąsy, a wzorował się widać na zwycięskiej polityce Bismarcka, gdyż obchodził się brutalnie ze wszystkimi, których się nie bał, przybierając krwiożercze miny. „Patna” została pomalowana z zewnątrz i wybielona od środka, po czym wtłoczono na jej pokład ośmiuset pielgrzymów, gdy stała pod parą u drewnianego mola.

Pielgrzymi sunęli na pokład trzema schodniami, nagleni wiarą i nadzieją rajy, wśród nieustannego tupotu i szmeru bosych nóg, bez słowa, bez szeptu, nie oglądając się za siebie; wydostawszy się spomiędzy barier rozlewali się na wszystkie strony po pokładzie, ku przodowi i ku rufie, spływali w dół w ziejące luki, zapełniali wewnętrzne zakamarki statku – jak woda, która napełnia cysternę, sączy się w szpary, szczeliny i wzbiera cicho aż po brzegi. Ośmiuset mężczyzn i kobiet, żywiących wiarę i nadzieję, przywiązania i wspomnienia, zebrało się tam, przybywszy z północy, południa i krańców wschodu, wędrując ścieżkami przez dżunglę, płynąc z biegiem rzek, sunąc wzdłuż mielizn na krajowych statkach, przeprawiając się w drobnych czółenkach od wyspy do wyspy, przechodząc różne udręki, patrząc na dziwne rzeczy, pozostając we władzy dziwnych obaw – a wszystkich podtrzymywało jedno pragnienie. Przybyli z samotnych chat stojących wśród puszczy, z ludnych *kampungów*¹, z nadbrzeżnych morskich wiosek. Na zew jednej idei opuścili swe lasy, polanki, opiekę swych władców, swój dobrobyt, swą biedę, krainę swej młodości i groby ojców. Przybyli

¹ *kampung* (mal.) – wieś, osada. [przypis edytorski]

okryci pyłem, potem, brudem, łachmanami – mężczyźni w sile wieku na czele rodzin, wychudli starcy dążący naprzód bez nadziei powrotu; młodzi chłopcy o nieulekłych oczach, rozglądający się ciekawie, trwożliwe dziewczątka o długich, poplątanych włosach, nieśmiałe, zakwefione kobiety, które cisnęły do piersi uśpione niemowlęta, okutane w luźne końce zbrukanych zasłon – nieświadomi pielgrzymi, posłuszni surowym wymaganiom swej wiary.

– Popatrz pan na to bydło – rzekł Niemiec, szyper, do swego nowego oficera.

Arab, przywódca pobożnych podróżników, zjawił się na ostatku. Wkroczył z wolna na pokład, piękny i pełen powagi, w białej szacie i wielkim turbanie. Za nim postępował rząd sług obładowanych jego bagażem; „Patna” odcumowała i cofnęła się od wybrzeża.

Skierowawszy się między dwie małe wysepki przecięła na ukos kotwowisko dla żaglowców, zakreśliła półkole w cieniu wzgórza i przesunęła się tuż koło raf otoczonych pianą. Arab powstał ze swego miejsca na rufie i począł odmawiać głośno modlitwę dla podróżujących po morzu. Wzywał łaski Najwyższego dla pielgrzymki błagając Go, aby pobłogosławił znój ludzki i tajne zamysły serc; parowiec pruł w mroku spokojną wodę cieśniny – a hen w tyle za okrętem latarnia morska, umieszczona przez niewiernych na zdradliwej mieliźnie, zdawała się mrugać na „Patnę” płomiennym okiem, jakby szydząc z jej wyprawy, natchnionej wiarą.

Statek przebył cieśninę, minął zatokę i płynął dalej w swą drogę przez przesmyk „Onedegree”. Sunął wprost na Morze Czerwone pod pogodnym niebem, pod niebem palącym i nie osłoniętym chmurami, obleczonym w słoneczny blask, który zabijał myśl wszelką, uciskał serce, wypalał wszystkie porywy siły i energii. A pod ponurą wspaniałością nieba morze błękitne i głębokie leżało spokojnie, bez ruchu, bez szmeru, bez zmarszczki – kleiste, bezwładne, martwe. „Patna” sunęła z lekkim sykiem tą świetlistą, gładką równiną i rozwijała po niebie czarną wstęgę dymu, zostawiając za sobą na wodzie białą wstęgę piany, która znikwała natychmiast jak widmo szlaku kreślone na martwym morzu przez widmo parowca.

Każdego rana słońce, jakby dotrzymując w swych obrotach kroku sunącej naprzód pielgrzymce, wyłaniało się z bezgłośnym wybuchem światła ściśle w tej samej odległości za rufą statku, dopędzało go o południu, lejąc skupiony żar promieni na pobożne ludzkie zamysły, mijało „Patnę” i tocząc się w dół, znikowało tajemniczo w morzu wieczór za wieczorem, zawsze w tej samej odległości od sunącego naprzód dziobu.

Pięciu białych znajdujących się na statku mieszkało na śródkręciu, z dala od ludzkiego ładunku. Płócienna zasłona okrywała pokład białym dachem od dziobu do rufy i tylko słaby szmer, stłumiony gwar smutnych głosów, zdradzał obecność tłumu ludzi na wielkiej jasności oceanu. Tak upływały dni ciche, upalne, ociężałe, zapadając jeden za drugim w przeszłość, niby w otchłań otwartą zawsze na szlaku okrętu; a „Patna”, samotna pod pasmem dymu, dążyła wytrwale w swą drogę, czarna i dymiąca wśród świetlistej nieskończoności, jakby spalona przez płomień sypiące się z bezlitosnego nieba.

Noce zstępowały na nią jak błogosławieństwo.

Rozdział trzeci

Cudowna cisza przenikała świat, a gwiazdy zdawały się słać na ziemię nie tylko pogodę swych promieni, ale i pewność wiecznego spokoju. Młody, wygięty księżyc, jaśniejący nisko na zachodzie, wyglądał jak cieniutki wiórek zheblowany ze złotej sztaby; Morze Arabskie, gładkie i chłodne dla oka, niby płyta lodu, słało się idealną równią aż po idealne koło ciemnego widnokregu. Śruba kręciła się gładko, jakby jej rytm był jednym ze składników bezpiecznego wszechświata; z obu stron „Patny” dwie głębokie fałdy wody, nieprzerwane i ciemne na gładkiej, lśniącej powierzchni, zamykały między prostymi, rozchodzącymi się grzbietami nieliczne białe wiry piany pękającej z cichym sykiem, drobne falki i zmarszczki, które zostawały w tyle, wzburzając na chwilę powierzchnię morza po przejściu okrętu; po czym uspokajały się z łagodnym pluskiem, póki nie stopiły się wreszcie w cichość nieba i wody otaczającą w krąg czarną plamkę sunącego kadłuba, pozostającą wciąż w samym środku.

Jim stojąc na mostku pławił się w wielkiej pewności nieskończonego spokoju i bezpieczeństwa, które można było wyczytać ze spokojnego wyglądu natury, jak się czyta pewność opiekuńczej miłości na spokojnej, tkliwej matczynej twarzy. Pod płóciennym dachem spali pielgrzymi hołdujący surowej wierze, poddawszy się mądrości białych i ich odwadze, ufając potędze ich niewiary i żelaznej łupinie ognistego statku; spali na matach, na kocach, na gołych deskach, na wszystkich pomostach, we wszystkich ciemnych zakamarkach, zawinięci w barwione szmaty, okutani w brudne łachmany, z głowami wspartymi na małych zawiniątkach, z twarzami przyciśniętymi do zgiętych ramion: mężczyźni, kobiety, dzieci, starzy z młodymi, zgrzybiali z pełnymi sił i życia – wszyscy zrównani wobec snu, brata śmierci.

Lekki powiew ciągnący od przodu, wywołany biegiem parowca, niósł się spokojnie przez długą mroczną przestrzeń między wysokimi nadburciami i muskał rzędy wyciągniętych ciał; kilka przyćmionych płomieni w latarniach wisiało na krótkich linkach tu i tam u poprzeczek płóciennego dachu, a w mętnych kręgach światła, drgających z lekka w rytm nieustannej wibracji statku, ukazywały się czyjeś zamknięte powieki, zadarta broda, ciemna ręka z srebrnymi pierścieniami, chude członki owinięte w podarte nakrycie, głowa odchylona w tył, goła stopa, szyja naga i wyprężona, jakby podająca się pod nóż. Zamożni urządzili dla swych rodzin schronienia z ciężkich skrzyń i zakurzonych mat; ubodzy spoczywali rzędem obok siebie, wspierając głowę na całym swym ziemskim dobytku, zawiniętym w gałgany; samotni starcy spali, podciągnawszy nogi, na modlitewnych dywanach, z rękoma na uszach i łokciami po obu stronach twarzy; jakiś ojciec wsunął głowę w ramiona i zgnębiony, oparł czoło na kolanach, drżąc obok chłopca, który spał na wznak ze skołtunioną czupryną i ręką wyciągniętą nakazująco; kobieta, okryta od stóp do głów białym prześcieradłem – niby trup – trzymała po nagim dziecku w zgięciu każdego ramienia; pakunki Araba, spiętrzone po prawej stronie rufy, tworzyły przysadzisty kopiec o łamanych liniach; nad nimi wisiała latarnia, a w głębi majaczyły przeróżne niewyraźne kształty: połyskliwe brzuchy mosiężnych naczyń, podnózek od leżaka, ostrze włóczni, prosta pochwa starego miecza oparta o stos po duszek, dziób cynowego dzbanka do kawy. \log^2 na tylnej barierze wydzwaniał miarowo jedno dźwięczne uderzenie za każdą milą przebytą w wędrówce nakazanej przez wiarę. Nad ciżbą śpiących przepływało niekiedy nikłe i cierpliwe westchnienie wyzionięte wśród zmaconego snu; a krótkie metaliczne dźwięki, rozlegające się nagle w głębiach statku – ostry zgrzyt szuflki, gwałtowne trzaśnięcie drzwiczkami od paleniska – wybuchały brutalnie, jakby ludzie obcuający z tajemniczymi przedmiotami tam w dole, żywili dziki gniew w piersi; zaś smukły, wysoki kadłub parowca sunął równo naprzód, bez najbliższego kołysania się nagich masztów, prując nieustannie wielki spokój wód pod niedostępnym spokojem nieba.

² *log* – przyrząd nawigacyjny do pomiaru przebytej drogi i prędkości statku. [przypis edytorski]

Jim spacerował w poprzek mostka, a własne kroki rozbrzmiewały mu głośno w uszach wśród wielkiej ciszy, jakby odbite przez czujne gwiazdy; jego oczy błędzące po linii horyzontu zdawały się sięgać chciwie za czymś niedościgłym i nie dostrzegły cienia zbliżającego się wypadku. Jedyne cienie na morzu padały od czarnego dymu buchającego wciąż ciężko z komina olbrzymią chorągwią, której koniec rozpyływał się ustawicznie w powietrzu. Dwaj Malaje, niemi i prawie nieruchomi, sterowali stojąc z dwóch stron koła, którego mosiężny brzeg połyskiwał częściowo w owalu światła padającego od pokrywy kompasu. Niekiedy ręka o czarnych palcach, puszczając i chwytając kolejno obracające się szprychy, ukazywała się na oświetlonej części koła; ogniwa łańcucha zgrzytały głośno w rowkach rury sterowej. Jim rzucał wzrokiem na kompas, potem rozglądał się wkoło po niedościgłym widnokregu, przeciągał się, aż stawy trzeszczały, przeginając się leniwie od nadmiernego wprost poczucia błogości; i – jakby rozzuchwalony widokiem niewzruszonego spokoju – czuł, że nie dba o nic, co by go mogło spotkać aż do końca jego dni. Od czasu do czasu spoglądał leniwie na mapę przymocowaną czterema pluskiewkami do niskiego stolika o trzech nogach, stojącego za osprzętem sterowym. Arkusz papieru, odtwarzający morskie głębie, rozpościarał się jaśniejącą powierzchnią pod światłem ślepej latarki przywiązanej do stojaka – powierzchnią poziomą i równą jak połyskliwa gładź wód. Na mapie spoczywały linijki nawigacyjne i cyrkiel; położenie statku w południe było oznaczone małym czarnym krzyżykiem, a prosta linia, nakreślona pewną ręką aż do Perimu, odtwarzała kurs – szlak dusz dążących ku świętemu miejscu, ku obietnicy zbawienia, nagrodzie wiecznego życia – ołówek zaś, oparty ostrym końcem o wybrzeże Somali, leżał okrągły i nieruchomy jak nagi maszt w basenie zamkniętego doku.

„Jak my spokojnie suniemy” – pomyślał Jim z podziwem, z czymś w rodzaju wdzięczności za ten wyniosły spokój morza i nieba. W takich chwilach myśli jego były przepelnione walecznymi czynami; kochał te swoje marzenia i sukcesy urojonych czynów. Były najlepszą częścią życia, jego tajną prawdą, jego ukrytą rzeczywistością. Cechowała je wspaniała męskość i urok czegoś nieokreślonego; sunęły przed nim bohaterskim krokiem porywając za sobą jego duszę upojoną boskim napojem – bezgraniczną wiarą w siebie. Nie ma nic, czemu by nie potrafił stawić czoła. Tak się mu ta myśl podobała, że się uśmiechnął patrząc machinalnie ku przodowi statku; a gdy mu się zdarzyło spojrzeć w tył, widział białą smugę szlaku, kreśloną równie prosto przez kil okrętu, jak prosta była czarna linia narysowana ołówkiem na mapie.

Wiadra do popiołu hałasowały, przesuwane tam i z powrotem przez wentylatory palarni, a ten metaliczny dźwięk ostrzegał Jima, iż koniec jego wachty się zbliża. Westchnął z zadowoleniem, a zarazem z żalem, że będzie musiał się rozstać z tą pogodą, która sprzyjała awanturniczej swobodzie jego myśli. Był przy tym trochę śpiący i czuł, jak przyjemna omdlałość ogarnia wszystkie jego członki; zdawało mu się, iż cała krew w jego ciele przemienia się w ciepłe mleko. Szyper zjawił się bezszelestnie na mostku w pidżamie rozchełstanej szeroko na piersiach. Był na wpół rozbudzony; twarz miał czerwoną, lewe oko częściowo zamknięte, prawe idiotycznie wybałuszone i szkliste; zwiesił wielką głowę nad mapą i drapał się ospale po żebrach. Było coś plugawego w widoku jego nagiego ciała. Obnażone, pulchne piersi połyskiwały tłustością, jakby we śnie wypocił z siebie całe sadio. Wypowiedział jakąś zawodową uwagę głosem chrapliwym i głuchym, podobnym do chrapiącego dźwięku piły trącej o krawędź deski; fałda podwójnego podbródka zwisała mu jak worek przywiązany tuż pod zawiasami szczęk. Jim drgnął, a jego odpowiedź pełna była szacunku, lecz wstrętne opasła postać – jakby ujrzana po raz pierwszy w chwili objawienia – wyrwała się na zawsze w jego pamięci niby wcielenie wszelakiej nikczemności i podłoty, czających się w ukochanym przez nas świecie; bowiem w głębi ducha ufamy, że nasze zbawienie leży w ludziach, którzy nas otaczają, we wszystkim, na co patrzą nasze oczy, w dźwiękach, które napełniają nam uszy, i w powietrzu wchłanianym przez nasze płuca.

Cienki, złoty wiórek księżyca spływał powoli, aż się zatracił w ściemniałej powierzchni wód, a wieczność poza niebem zdawała się do ziemi przybliżać ze wzmocnionym lśnieniem gwiazd i mrokiem, który się pogłębił w połyskliwej, na wpół przejrzystej kopule okrywającej płaską tarczę

matowego morza. Parowiec płynął tak gładko, że ludzkie zmysły nie mogły uchwycić jego ruchu, jakby był zaludnioną szczelnie planetą śpieszącą przez ciemną przestrzeń eteru za rojem słońc, wśród groźnych i spokojnych pustkowi oczekujących na tchnienie przyszłych aktów stworzenia.

– Strach, co tam za upał na dole – rzekł jakiś głos.

Jim uśmiechnął się, ale nie obejrzał. Rozłożyste plecy szypra ani drgnęły; należało to do sztuczek renegata, że ignorował ostentacyjnie czyjąś obecność, jeśli nie uznał za stosowne zwrócić się do tego kogoś, zmierzyć go wściekłym spojrzeniem i zalać spienionym potokiem obelżywego żargonu, który tryskał jak ze ścieku. Teraz szyper ograniczył się do kwaśnego mruknięcia; a pomocnik mechanika u szczytu schodów mostka, miętosząc w wilgotnych dłoniach brudny gałgan do obcierania potu, wylewał w dalszym ciągu swoje żale, bynajmniej nie onieśmielony. Tu na górze dobrze się marynarzom powodzi i niech go kaczkę zdepczą, jeśli wie, po co ci marynarze są w ogóle na świecie. Mechanicy, nieboraki, muszą tak czy owak statek w ruch wprawiać, a przecież mogliby sobie poradzić doskonale i z resztą roboty; „jeszcze i jak, do jasnej cholery”...

– Stulić pysk – mruknął flegmatycznie Niemiec.

– Właśnie! Stulić pysk – a kiedy coś nie w porządku, to pędzicie do nas, prawda? – ciągnął tamten. I żalił się dalej, że jest na wpół ugotowany; ale za to teraz wszystko mu jedno, ile grzechów ma na sumieniu, bo przez te ostatnie trzy dni przeszedł porządny kurs wstępny do tego miejsca, dokąd źli ludzie idą po śmierci – porządny, bo porządny, żeby tak zdrow był – a w dodatku jeszcze ogłuchł jak pień od cholerycznego hałasu na dole. To podłe, przekłete, zgniłe pudło, ten stary skraplacz, skrzypi tam i hałasuje jak stara winda pokładowa albo i jeszcze gorzej; a z jakiego powodu on, mechanik, naraża życie każdej nocy i każdego dnia – na gruchocie, który nadaje się tylko na złom i robi pięćdziesiąt siedem obrotów na minutę – tego wyjaśnić nie potrafi. Widać już się taki nieustraszony urodził, do jasnej cholery. Widać...

– Skądś pan wódkę wytrzasnął? – spytał Niemiec, bardzo wściekły, lecz nieruchomy, w świetle padającym od szafki z busołą, jak niezgrabny wizerunek człowieka ulepiony z bryły tłuszczu. Jim wciąż się uśmiechał ku cofającemu się widnokręgowi; serce miał pełne szlachetnych porywów, a w myśli rozważał swą wyższość.

– Wódkę! – powtórzył mechanik z uprzejmą pogardą; jego ciemna postać, chwiejąca się na nogach, czepiała się oburącz bariery. – Nie od pana, panie kapitanie. Pan jest na to o wiele za skąpy, do jasnej cholery. Porządny człowiek skonałby u pańskich nóg, a nie dostałby ani kropli sznapsa. Wy, Niemcy, nazywacie to oszczędnością. Oszczędzacie pensy, a wyrzucacie za okno tysiące. – Mechanik stał się sentymentalny. Szef dał mu wypić naparstek tak około dziesiątej – „jeden jedyny, żebym tak zdrow był!”. Pocziwy starowina; ale gdyby przyszło wyciągać z koi tego starego franta, nawet pięciotonowy żuraw nic by nie poradził. Nie ma gadania. A w każdym razie nie dzisiaj. Szef śpi słodko jak małe dzieciątko, z butelką wyborowej wódki pod poduszką.

Z grubego gardła kapitana wydarł się niski pomruk, w którym dźwięk słowa *Schwein*³ przebijał się to nisko, to wysoko, jak kapryśne piórko w nikłym powiewie. Kapitan i główny mechanik byli kamratami już od dobrych kilku lat; służyli u tego samego jowialnego, podstępного starego Chińczyka, noszącego okulary w rogowej oprawie i czerwone jedwabne tasiemki wplecione w czcigodne siwe włosy warkocza. Nadbrzeżna fama w ojczystym porcie „Patny” głosiła, że ci dwaj – w zakresie bezczelnych sprzeniewierzeń – „dokonali razem mniej więcej wszystkiego, co się tylko da pomyśleć”. Na oko źle byli dobrani; jeden miał tępe, złe oczy i opasłe ciało o miękkich liniach; drugi był chudy, cały we wklęsłościach – o głowie długiej i kościstej niby u starej szkapy, o zapadłych policzkach, zapadłych skroniach i obojętnym, szklistym spojrzeniu zapadłych oczu. Wyrzucono go gdzieś na wschodnim wybrzeżu – w Kantonie, Szanghaju, a może i Jokohamie; prawdopodobnie nie zależało mu na tym, aby pamiętać dokładnie ową miejscowość ani też powód swej katastrofy. Ze względu na jego młody wiek wylano go po prostu z okrętu dwadzieścia lat temu lub więcej, a

³ *Schwein* (niem.) – świnia. [przypis edytorski]

mogło się to dla niego o tyle gorzej skończyć, że wspominając ów epizod nie uważał go właściwie za nieszczęście. Potem, gdy żegluga parowa rozwinęła się na tych morzach i ludzie jego fachu z początku trafiali się rzadko, powiodło mu się w pewnym znaczeniu. Miał zwyczaj skwapliwie informować obcych ponurym szeptem, że „zna te strony jak własną kieszeń”. Przy każdym ruchu tego człowieka zdawało się, że kościotrup kołacze się w jego ubraniu; zamiast chodzić wałęsał się po prostu, a miał zwyczaj wałęsać się tak bez ustanku po maszynowni naokoło luku świetlnego. Palił przy tym bez przyjemności fałszowany tytoń w miedzianej czarce na końcu wiśniowego cybucha długości czterech stóp, z głupkowaną powagą myśliciela wywodzącego system filozoficzny z mglistych przeblysków jakiejś prawdy. Zazwyczaj daleki był od szafowania swym prywatnym zapasem alkoholu; ale owej nocy odstał od tej zasady, tak że jego pomocnik, głupkowaty syn Wappingu⁴, zaskoczony nieoczekiwanym poczęstunkiem i mocą alkoholu, stał się bardzo szczęśliwy, bezczelny i rozmowny. Wściekłość Niemca z Nowej Południowej Walii była niezmierna; sapał jak miech, a Jim, ubawiony nieco tą sceną, oczekiwał z niecierpliwością chwili, kiedy będzie się mógł znaleźć na dole; ostatnie dziesięć minut wachty były irytujące jak działo, które się ociąga z wystrzałem. Ci ludzie nie należeli do świata bohaterskich przygód, ale niezłe z nich były chłopcy. Nawet sam szyper... Obrzydzenie zdjęło Jima na widok tej bryły dyszącego ciała, z której wydobywały się gardłowe pomruki – mętny strumyczek niechlujnych wyrażeń: lecz błoga ospałość zanadto nim owładnęła, aby się mógł zdobyć na czynną antypatię w stosunku do czegośkolwiek. Poziom tych ludzi był mu obojętny; ocierał się o nich, ale nic go nie obchodzili; oddychali tym samym powietrzem, lecz on był zupełnie inny... Czy też szyper rzuci się na mechanika?... Życie jest łatwe, a Jim taki jest pewien siebie – zanadto pewien siebie, aby... Granica dzieląca jego rozmyślanie od potajemnej drzemki na stojąco była cieńsza od nitki pajęczej.

Pomocnik mechanika, zmieniając temat z łatwością, jął rozpatrywać swą materialną pozycję i swą odwagę.

– Kto jest pijany? Ja? Nie, nie, panie kapitanie! Nic podobnego. Powinien pan przecie już wiedzieć, że szef zanadto jest skąpy, aby spoić nawet wróbla, do jasnej cholery. Nigdy w życiu nie byłem wstawiony; nie wynaleziono jeszcze trunku, który by **mnie** spoił. Mogę pić płynny ogień, a pan będzie pił to wasze whisky – ja kieliszek, pan kieliszek – i pozostanę chłodny jak lód. Gdybym myślał, że jestem pijany, skoczyłbym za burtę i byłby koniec ze mną, do jasnej cholery. Tak! Od razu! A z mostka nie zejść. Gdzież pan chce, żebym odetchnął świeżym powietrzem w taką noc jak dzisiaj, co? Na pokładzie, wśród tego robactwa? To akurat do mnie podobne! Nie boję się pana – co mi pan może zrobić!

Niemiec podniósł ku niebu dwie ciężkie pięści i potrzęsął nimi z lekka, bez słowa.

– Ja nie wiem, co to strach – ciągnął mechanik z zapalem i szczerym przekonaniem. – Nie boję się całej tej, psiamać, roboty na tym zgniłym pudle, do jasnej cholery! A jaka to dla was gratka, że są na świecie tacy ludzie jak my, co nie drżą o swoją skórę – bo gdyby nie to, ładnie byście wyglądali – i pan, i ten tu stary gruchot, co ma obicie jak z szarego papieru – zupełnie jak z szarego papieru, żebym tak zdrow był. Panu to dobrze – wyciąga pan ze statku moc pieniędzy na wszystkie sposoby; a ja – co ja dostaję? Parszywe sto pięćdziesiąt dolarów na miesiąc – i to bez utrzymania. Pytam ja się pana z całym szacunkiem, uważa pan, z szacunkiem – kto by nie kopnął takiej podłej roboty? Człowiek nadstawia karku, żebym tak zdrow był, oj, nadstawia! Tylko że ja to jestem chłop nieustraszony...

Puścił barierę i wykonywał szerokie gesty, jak gdyby demonstrując w powietrzu kształt i objętość swej odwagi; jego piskliwy głos sunął w przeciągłych skrzekach nad morzem. Chwilami robił krok naprzód lub się cofał dla lepszego uwydatnienia swych słów i nagle rymnął głową w dół, jakby go palnął kto z tyłu. „Psiakrew!” – mruknął padając; chwila ciszy nastąpiła po jego gadaniu; i Jim, i szyper potknęli się jednocześnie: odzyskawszy równowagę stali bardzo sztywno, patrząc wciąż w zdumieniu na niezamąconą gładkość morza. Potem spojrzeli w górę na gwiazdy.

⁴ *Wapping* – osiedle we wsch. części Londynu, dawniej dzielnica portowa. [przypis edytorski]

Co to się stało? Maszyny dudniły i sapały bez przerwy. Czy ziemia zatrzymała się w biegu? Nie mogli nic zrozumieć; i nagle spokojne morze, niebo bez jednej chmurki wydały im się straszliwie niepewne w swym bezruchu, jak gdyby się ważyły nad krawędzią ziejącej zatury. Maszynista zerwał się na równe nogi i opadł znów jak bezkształtna masa; dobiegło z niej stłumione pytanie pełne głębokiej troski: „Cóż to znowu?” Przebrzmiał z wolna słaby odgłos niby grzmotu, niezmiernie odległego grzmotu – czegoś, co było słabsze od dźwięku i zaledwie mocniejsze od drgnienia – a statek zadrżał w odpowiedzi, jakby ów grzmot zawarczał gdzieś w głębi wody. Oczy Malajów ukoła błysnęły ku białym, lecz ciemne ich ręce pozostały zamknięte na szprychach. Zdawało się, że ściły kadłub, sunący w swą drogę, podnosi się kolejno o parę cali przez całą długość – jakby się stał giętki – po czym osiadł znów sztywno, wracając do pracy, i w dalszym ciągu pruł gładką powierzchnię morza. Drżenie kadłuba uspokoiło się, a nikły odgłos grzmotu nagle ustał, jakby statek przebył wąski pas rozedrganej wody i dudniącego powietrza.

Rozdział czwarty

Mniej więcej w miesiąc później, gdy Jim odpowiadał na rzeczowe pytania, usiłując powiedzieć uczciwie prawdę o tym, co wówczas przeżył, wyraził się mówiąc o statku:

– Przesunął się przez to coś tak łatwo jak wąż pełznący przez kij.

Porównanie było dobre; pytania dotyczyły faktów, a działo się to podczas urzędowego dochodzenia w sądzie do spraw karnych pewnego wschodniego portu. Jim stał z rozpalonymi policzkami na podwyższeniu przeznaczonym dla świadków, w chłodnej, wysokiej sali; wielkie ramy do *punkah*⁵ poruszały się łagodnie tam i z powrotem wysoko nad jego głową, a z dołu wiele oczu patrzyło na niego z ciemnych twarzy, z białych twarzy, z czerwonych twarzy, z twarzy uważnych, urzeczonych, jak gdyby wszyscy ci ludzie siedzący karnymi rzędami na wąskich ławkach byli spętani czarem jego głosu. A głos ten, bardzo donośny, brzmiał przerażająco w uszach Jima; był to jedyny głos słyszalny na świecie, bo okropnie wyraźne pytania, które wydzierały mu odpowiedzi, zdawały się kształtować same przez się w jego własnej piersi wśród udręki i bólu, a docierały do niego, dotkliwie i ciche, jak straszne pytania zadane przez sumienie. Na dworze jaśniało słońce – na sali sądowej był wiatr od wielkich *punkah*, który przejmował dreszczem, był wstyd, który palił ogniem, były uważne oczy, których wzrok przeszywał na wskroś. Wygolona twarz sędziego patrzyła niewzruszenie na Jima, śmiertelnie blada między czerwonymi twarzami dwóch asesorów. Światło padało z góry, od szerokiego okna pod sufitem, na głowy i plecy trzech ludzi, którzy rysowali się z okrutną wyrazistością w półcieniu wielkiej sali sądowej, publiczność zaś składała się jakby ze spokojnych, zapatrzonych cieni. Żądali faktów. Faktów! Domagali się od niego faktów, jakby fakty mogły cośkolwiek wytłumaczyć!

– Kiedy pan doszedł do wniosku, żeście się zderzyli z czymś pływającym po wodzie, powiedzmy z zalanym wodą wrakiem, dostał pan rozkaz od kapitana, aby pójść na dziób i upewnić się, czy statek nie został uszkodzony. Czy pan uważał to za możliwe, sądząc po sile zderzenia? – zapytał asesor siedzący z lewej strony. Miał rzadką brodę w kształcie podkowy i wystające kości policzków; oparłszy oba łokcie na biurku, splótł kosmate ręce przed twarzą, patrząc w zamyśleniu na Jima niebieskimi oczami; drugi zaś, tęgi mężczyzna o pogardliwym obliczu, oparty o tylną poręcz krzesła, wyciągnął lewą rękę i bębnił leciutko końcami palców po suszce. Pośrodku siedział w obszernym fotelu wyprostowany sędzia przechyliwszy nieco głowę i skrzyżowawszy ramiona na piersiach; kilka kwiatów w szklanym wazonie stało obok jego kałamarza.

– Nie, nie spodziewałem się tego – rzekł Jim. – Powiedziano mi, abym nikogo nie wołał i nie robił hałasu, żeby nie wznieść paniki. Uznałem te ostrożności za słuszne. Wziąłem jedną z lamp, które wisiały pod płóciennym dachem, i poszedłem naprzód. Kiedy otworzyłem luk dziobowego skrajnika, usłyszałem plusk tam w środku. Wówczas spuściłem lampę na całą długość liny i zobaczyłem, że w dziobowym skrajniku woda sięga wyżej niż do połowy. Wtedy już wiedziałem, że musi tam być wielka dziura pod linią wodną. – Umilkł na chwilę.

– Tak – powiedział olbrzymi asesor uśmiechając się z rozmarzeniem do suszki; przebierał nieustannie palcami dotykając bezgłośnie bibuły.

– Nie myślałem wówczas o niebezpieczeństwie. Może byłem trochę zaskoczony tym wszystkim; stało się to tak spokojnie i tak bardzo nagle. Wiedziałem, że nie ma innej grodzi na statku prócz grodzi zderzeniowej, oddzielającej skrajnik dziobowy od wnętrza przedniego. Wróciłem, aby zawiadomić o tym kapitana. Natknąłem się na drugiego mechanika, który dźwigał się na nogi u stóp schodków mostkowych; wyglądał na ogluszonego i powiedział mi, że złamał chyba lewą rękę;

⁵ *punkah* a. *pankhā* – duży wachlarz z rozpiętego na ramie liścia palmy, piór lub materiału, używany w płd. Azji do wentylacji pomieszczeń. [przypis edytorski]

schodząc ze schodków obsunął się z górnego stopnia, gdy ja byłem na dziobie. Wykrzyknął: „Wielki Boże! Zgniła gródź ustąpi lada chwila i ten parszywy gruchot pójdzie z nami na dno, jak kamień”.

Odepchnął mię prawą ręką i krzycząc wbiegł przede mną po schodkach. Lewa ręka zwisała mu u boku. Szedłem tuż za nim i widziałem, jak kapitan rzucił się na niego i powalił go na plecy. Nie uderzył go jednak; stał nad nim pochylony i mówił coś z gniewem, lecz zupełnie cicho. Pewnie pytał go, czemu, u diabła, nie pójdzie i nie zatrzyma maszyn zamiast drzeć się na cały pokład. Słyszałem, jak powiedział: „Wstawaj pan! Biegnij! Leć!” Kłął przy tym. Mechanik zsunął się po prawostronnych schodkach i obiegił wkoło luku świetlnego ku zejściu do maszynowni, które znajdowało się po lewej stronie. Biegł i jęczał...

Jim mówił powoli; przypominał sobie wszystko w mig, z niezmierną wyrazistością; byłby mógł odtworzyć jak echo jęk mechanika dla lepszego poinformowania tych ludzi, którzy żądali faktów. Z początku bunt go ogarnął, ale potem doszedł do przekonania, że tylko drobiazgowa dokładność zeznań uwydatni prawdziwą grozę kryjącą się za okropnymi pozorami. Fakty, których ci ludzie tak pożąдали, były widoczne, dotykalne, dostępne dla zmysłów i zajmowały swoje miejsce w przestrzeni i czasie; wydarzyły się na tysiącczterystatonowym parowcu w ciągu dwudziestu siedmiu minut wachty; składały się na całość mającą pewien charakter, subtelną wyrazistość, wygląd skomplikowany, który oko mogło zapamiętać – ale było tam coś jeszcze poza tym, coś niewidzialnego, jakiś władczy duch zagłady tkwiący wewnątrz jak nieprzyjazna dusza w obmierzłym ciele. Jim starał się usilnie to wszystko wyjaśnić. Nie była to zwykła historia, każdy jej szczegół miał wagę pierwszorzędą, a Jim na szczęście pamiętał wszystko. Pragnął mówić o tym wszystkim ze względu na prawdę, a może też i ze względu na siebie samego; i podczas gdy cedził rozważnie wyrazy, jego myśli po prostu latały i latały naokoło zacieśnionego kręgu faktów, co się wyłoniły odcinając go od reszty ludzi; był jak stworzenie uwięzione w ogrodzeniu z wysokich pali, które obija się w krąg, oszalałe wśród nocy, usiłując znaleźć jakieś słabsze miejsce, szparę, nierówność, po których można by się wdrapać, jakiś otwór pozwalający się precyzyjnie i uciec. Ta okropna ruchliwość umysłu sprawiała, że chwilami Jim ociągał się mówiąc.

– Kapitan wciąż chodził po mostku tam i z powrotem; wydawał się dosyć spokojny, tylko potknął się kilkakrotnie; a raz, kiedym stał i mówił do niego, wszedł wprost na mnie, jakby był zupełnie ślepy. Nie odrzekł nic konkretnego na wszystko, co musiałem mu powiedzieć. Mruczał coś pod nosem; zrozumiałem z tego tylko parę słów; zdaje mi się, że powiedział: „ta, psiakrew, para!” i „przeklęta para!” – coś o parze. Przyszło mi na myśl...

Jim zaczął odbiegać od tematu; rzeczowe pytanie przecięło mu mowę jak skurcz bólu. Poczul się niezmiernie znużony i zniechęcony. Już, już miał to na końcu języka, a teraz, zatrzymany brutalnie, musiał odpowiedzieć: tak lub nie. Odrzekł szczerze i krótko: „Tak”. Stał wyprostowany na podwyższeniu – wysoki, okazały, o jasnej twarzy i młodzieńczych, posępnych oczach – a dusza wiła się w nim po prostu. Odpowiedział jeszcze na jedno pytanie, takie bardzo rzeczowe i takie zbyteczne, po czym znów czekał. W ustach miał to suchość bez smaku, jak gdyby najadł się kurzu, to znowu słoność i gorycz, niby po napiciu się morskiej wody. Obtarł wilgotne czoło, przesunął językiem po spiekłych wargach i poczuł dreszcz przebiegający mu po grzbiecie. Tęgi asesor opuścił powieki i bębnił bezgłośnie palcami, obojętny i ponury; oczy drugiego zdawały się jaśnieć życzliwością sponad splecionych rąk, spalonych przez słońce; sędzia pochylił się naprzód, jego blada twarz unosiła się nad kwiatami, wreszcie osunął się bokiem na poręcz fotela i oparł skroń na rękę. Wiatr sphywał od *punkah*, wirując na głowy, na ciemne twarze krajowców zawiniętych w obfite draperie, na Europejczyków w ubraniach z dymki zdającej się przylegać jak skóra; biali siedzieli razem, bardzo zgrzani, trzymając na kolanach okrągłe hełmy korkowe; pod ścianami przemykali sądowi policjanci, krajowcy, opięci ciasno w długie białe kapoty; migali szybko tu i tam, biegając boso na palcach, przepasani czerwonymi szarfami, w czerwonych turbanach na głowie, bezszelestni jak cienie i czujni jak psy gończe.

Oczy Jima, błędzące po sali w przerwach między odpowiedziami, zatrzymały się na białym, który siedział oddzielnie; miał twarz zniszczoną i chmurną, a spokojne jego oczy patrzyły wprost na Jima, jasne i pełne zainteresowania. Jim odpowiadał właśnie na jakieś pytanie i miał ochotę krzyknąć: „Po co to wszystko! Po co!” Uderzał z lekka nogą o podium, przygryzał wargi i patrzył w dal ponad głowami. Napotkał oczy białego. Spojrzenie utkwione w nim różniło się od urzeczonego wzroku innych widzów. Był to akt świątłej woli. Jim zapomniał się tak dalece między dwoma pytaniami, że znalazł czas, aby pomyśleć: „Ten człowiek patrzy na mnie, jakby widział kogoś czy coś za moimi plecami”. Jim spotkał go już kiedyś – może na ulicy. Był pewien, że nigdy z nim nie rozmawiał. Od dni, od wielu dni nie mówił do nikogo, lecz rozprawiał po cichu, bez ładu i bez końca, z samym sobą, jak samotny więzień w celi lub wędrowiec zagubiony wśród dzikiej głuszy. Teraz odpowiadał na pytania – które nie miały żadnego znaczenia, choć dążyły do określonego celu – ale wątpił o tym, czy się jeszcze kiedykolwiek w życiu wypowie. Dźwięk jego własnych, szczerych zeznań utwierdzał go w przekonaniu, powziętym po dłuższej rozwadze, że mowa jest już dlań zbyt cenna. Miał wrażenie, iż tamten człowiek zdaje sobie sprawę z jego beznadziejnych trudności. Jim popatrzył na niego, po czym odwrócił się stanowczo, jakby w chwili ostatecznej rozłąki.

A później niejednokrotnie, w odległych częściach świata, Marlow przejawiał skłonność do wspomnienia Jima, do szczegółowych i głośnych rozpamiętywań na jego temat.

Może zdarzyło się to po obiedzie, na werandzie udrapowanej w nieruchome listowie, uwieńczonej kwiatami, w głębokim mroku pocętkowanym ogieńkami cygar. Wydłużone kształty trzcinowych foteli gościły milczących słuchaczy. Niekiedy żarzący się, czerwony krążek poruszał się niespodziewanie, oświetlając palce leniwej ręki i część twarzy pogrążonej w głębokim spokoju, albo rzucił karmazynowe błyski w dwoje zadumanych oczu ukrytych w cieniu gładkiego czoła.

A z pierwszym słowem Marlowa jego postać, wyciągnięta spokojnie na leżaku, zapadała w zupełny bezruch. Wydawało się, że duch tego człowieka odlatuje wstecz, w minione czasy i przemawia jego wargami – z przeszłości.

Rozdział piąty

O tak. Byłem obecny na sprawie – mówił Marlow – i do dziś dnia nie przestaję się dziwić, po co tam chodziłem. Gotów jestem uwierzyć, że każdy z nas ma swego anioła stróża, jeśli zgodzicie się ze mną, że każdy z nas ma również swego własnego diabła. Chcę, abyście się do tego przyznali, ponieważ pod żadnym względem nie lubię się czuć wyjątkiem, a wiem, że go mam – mówię o swoim diable. Nie widziałem go oczywiście – ale opieram się na dowodach rzeczowych. Krąży koło mnie z pewnością, a że jest złośliwy, robi mi kawały tego rodzaju. Zapytacie, jakiego rodzaju? No więc takie jak ta cała sprawa sądowa, jak ta historia z żółtym psem. – Powiedzcie tylko, do czego to podobne, aby pozwalano parszywemu malajskiemu kundlowi płatać się ludziom między nogami na werandzie sali sądowej, co? – A te podstępne, nieoczekiwane, iście szatańskie podejścia, dzięki którym natykam się na ludzi o różnych słabościach, narowach, ukrytych skazach, na Boga! ludzi, którym mój widok rozwiązuje języki pobudzając ich do piekielnych zwierzeń; jak gdybym doprawdy sam przed sobą nie miał się z czego zwierzać, jak gdybym – niestety – nie posiadał aż nadto poufnych wiadomości o samym sobie, wiadomości, które będą dręczyły moją duszę aż do końca wyznaczonych mi dni. I pragnąłbym wiedzieć, co uczyniłem, aby być wyróżniany w ten sposób. Oświadczam, że tyle mam własnych spraw na głowie co i wszyscy ludzie, a pamięć taką samą jak każdy przeciętny pielgrzym na tym padole; widzicie zatem, że nie nadaję się szczególnie na studnię zwierzeń. Więc dlaczego mnie to spotyka? Nie mam pojęcia – chyba dlatego, aby czas mijał prędko po obiedzie. Karolku, chłopcze kochany, twój obiad, był znakomity i z tego powodu ci oto panowie uważają spokojnego robra za zbyt burzliwe zajęcie. Wylegają się na twoich wygodnych fotelach i mówią sobie: „Ani myślę się fatygować. Niech tam ten Marlow gada”.

A więc będę mówić! Niech i tak będzie. A wcale łatwo jest mówić o Imć Panu Jimie po dobrej wyżerce, siedząc dwieście stóp nad poziomem morza, z pudełkiem porządnych cygar pod ręką, w rozkoszny wieczór pełen świeżości i gwiazdnego blasku, wieczór, który by i najlepszemu z nas kazał zapomnieć, że znajdujemy się tu tylko na krótkim urlopie i że nadal musimy wynajdywać na rozstajach naszą własną drogę bacząc czujnie na każdą cenną minutę, każdy nieodwołalny krok, wierząc jednak, że w końcu zdołamy wybrnąć z tego przyzwyczajenia – choć niezbyt pewni siebie w gruncie rzeczy. I diablo mało możemy liczyć na pomoc tych, o których się ocieramy na prawo i na lewo. Naturalnie, że tu czy tam trafiają się ludzie, dla których całe życie jest jak poobiednia godzina spędzona z cygarem w rękę; łatwe, przyjemne, puste, może urozmaicone jakąś bajką o walce – bajką, o której się zapomina, nim się jej wysłuchało do końca – nim się jej wysłuchało – nawet jeśli się zdarza, że bajka ma jakiś koniec.

Nasze oczy spotkały się po raz pierwszy w czasie tego śledztwa. Trzeba wam wiedzieć, że każdy, kto miał jakikolwiek związek z morzem, był tam na sali, ponieważ sprawa stała się głośna od chwili, gdy ów tajemniczy telegram kablowy przyszedł z Adenu i rozpętał nam wszystkim języki. Nazywam go tajemniczym, choć zawierał nagi fakt – tak dalece nagi i brzydki, jakim tylko fakt być może. Całe wybrzeże o niczym innym nie mówiło. Z samego rana słyszałem już przez gródź, ubierając się w kajucie, mego Persa, Dubosza, paplącego o „Patnie” ze stewardem, który został dopuszczony łaskawie do wypicia w kredensie filiżanki herbaty. Ledwie się znalazłem na brzegu, spotykałem kogoś znajomego, a ten pytał od razu: „Słyszał pan kiedyś o czymś podobnym?”, i – zależnie od swojej natury – uśmiechał się z cynizmem albo wyglądał posepnie, albo rzucał parę przekleństw. Ludzie zupełnie obcy zaczepiali się poufale tylko po to, aby ulżyć sobie w duchu na ten temat; byle łazik z miasta znajdował okazję do porządnej wypitki rozprawiając o tej historii; słyszało się o niej w urzędzie portowym, u każdego dostawcy okrętowego, u agentów; była na ustach białych, krajowców, Metysów, i – słowo daję – nawet półnagich wioślarzy siedzących w kucki na kamiennych schodach, którymi się szło w górę. Trochę się oburzano, żartów strojono co niemiara i rozprawiano bez końca na temat, co też się mogło stać z tymi ludźmi. Ciągnęło się to już parę tygodni lub więcej i

zaczynała przeważać opinia, że to, co było tajemnicze w tej sprawie, okaże się w końcu tragiczne, aż pewnego pięknego poranku, gdy stałem w cieniu obok schodów prowadzących do urzędu portowego, spostrzegłem czterech ludzi idących ku mnie bulwarem. Dziwiłem się przez chwilę, skąd się wzięła ta dziwna kompania, i nagle, że tak powiem, krzyknąłem w duchu: „Oto oni!”

Byli to naturalnie oni – trzej o zwykłych wymiarach, a czwarty o tuszy przekraczającej znacznie objętość normalnego człowieka. Wsunąwszy porządne śniadanie wysiedli właśnie przed chwilą z parowca linii Dale, dążącego na Wschód, który to parowiec przybył mniej więcej w godzinę po wschodzie słońca. Omyłka była niemożliwa; poznałem jowialnego szypra „Patny” od pierwszego spojrzenia: najtłuściejszy człowiek w całym przeklętym pasie podzwrotnikowym naokoluteńko naszej pocziwej starej ziemi. Z jakie dziewięć miesięcy przedtem zetknąłem się z nim w Semarangu. Parowiec jego brał ładunek w Roads, a on wymyślał na tyrańskie urzędnika cesarstwa niemieckiego i żłopał piwo od rana do wieczora, dzień po dniu, w pokoju za sklepem De Jongha; aż wreszcie De Jongh, który liczył mu guldena od flaszki bez zająknięcia, wziął mnie na stronę i oświadczył poufnie, marszcząc swą małą, jakby skórzaną twarzyczkę: „Interes interesem, ale kiedy patrzę na tego człowieka, panie kapitanie, to aż mi się robi niedobrze. Tfu!” Stojąc w cieniu patrzyłem na szypra „Patny”. Szedł spiesźnie, wyprzedzając nieco tamtych, a promienie słońca biły w niego uwydatniając jego objętość w sposób zastraszający. Przywodził na myśl tresowane słońtątko chodzące na tylnych nogach. A przy tym był cudacznie jaskrawy – miał na sobie wybrudzoną pidżamę w jasnozielone i ciemnopomarańczowe pionowe pasy; gołe jego nogi były obute w parę obszarpanych słomianych chodaków, a na wielkiej głowie tkwił wyrzucony przez kogoś korkowy hełm, bardzo brudny i o dwa numery za mały, przywiązany sznurkiem z manili na samym czubku. Zrozumiecie, że człowiek, który tak wygląda, nie może mieć ani krzty szczęścia, kiedy przyjdzie mu pożyczyć ubranie. No i dobrze. Zbliżał się z gorączkowym pośpiechem, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, przeszedł o trzy stopy ode mnie i w niewinności swego serca popędził w górę po schodach do portowego urzędu, aby złożyć zeznanie czy raport, czy jak wam się spodoba to nazwać.

Podobno zwrócił się przede wszystkim do głównego inspektora żeglugowego. Archie Ruthvel przyszedł właśnie do biura i – jak mi później opowiadał – zaczynał mozolny dzień od zmycia głowy głównemu swemu urzędnikowi. Może który z was znał Ruthvela – taki ugrzeczniomy, mały portugalski Metys, o nędznej, wychudłej szyi, czyhający stale na to, aby wyłudzić od szyprów jakieś wiktuały – kawał solonej wieprzowiny, worek sucharów, trochę kartofli i w ogóle, co się tylko dało. Pamiętam, że podczas jednej podróży darowałem mu żywą owcę z reszty mych morskich zapasów; wcale nie dlatego, abym czegoś od niego potrzebował – bo nie mógł nic dla mnie uczynić – ale jego dziecinna wiara w swoje święte prawo do ubocznych dochodów po prostu wzięła mnie za serce; była tak silna, że stawała się niemal piękna. Jego rasa – a raczej obie rasy – i w dodatku klimat... No, ale mniejsza, o to. Wiem, gdzie znajdę przyjaciela na śmierć i życie.

Ruthvel mówił mi, że właśnie w trakcie dawania nauk swemu urzędnikowi – przypuszczam, że na temat etyki obowiązującej stan urzędniczy – posłyszał za sobą jakieś stłumione poruszenie; odwrócił głowę i ujrzał – wedle jego własnych słów – coś okrągłego i olbrzymiego, co przypominało beczkę z cukrem wagi tysiąca sześciuset funtów, zawiniętą w pasiastą flanelę i ustawioną na środku rozległego biura. Tak go to zaskoczyło, iż przez dłuższy czas nie zdawał sobie sprawy, że to coś jest żywe, i siedział bez ruchu rozmyślając, w jakim celu i jakim sposobem ten przedmiot znalazł się przed jego biurkiem. W sklepionych drzwiach prowadzących do przedpokoju tłoczyli się ludzie obsługujący *punkah*, zamiatacze, krajowi policjanci, bosman i załoga portowej szalupy parowej – a wszyscy wyciągali szyje i prawie wśliznęli jeden drugiemu na plecy. Zupełnie jak podczas jakichś rozruchów. Tymczasem ów osobnik z wysiłkiem zdarł z głowy kapelusz i sunął w lekkich ukłonach ku Ruthvelowi; według własnych słów Ruthvela było to tak niepokojące, iż przez pewien czas słuchał przemowy zjawiska nie mogąc wyrozumieć, o co właściwie mu chodzi. Mówiło głosem ochryplym, ponurym, lecz nieustraszonym i stopniowo Ruthvel zrozumiał, iż to jest dalszy ciąg wypadku „Patny”.

Opowiadał mi, że w chwili gdy pojął, kto przed nim stoi, zrobiło mu się dosłownie słabo – Archie taki jest wrażliwy i tak łatwo się wzrusza – ale opanował się i krzyknął:

– Dość tego! To nie moja rzecz pana słuchać. Musi pan się zgłosić do kapitana portu. Ja stanowczo nie mogę pana wysłuchać, to kapitan Elliot jest od tego. Tędy, o, tędy.

Zerwał się z krzesła, obiegnął długi kontuar, ciągnął szypra, popychał, a ów dał się prowadzić, zaskoczony, lecz posłuszny na razie, i dopiero u wejścia do prywatnego gabinetu kapitana, jakby pod wpływem zwierzęcego instynktu, zaczął się opierać i prychać jak przestraszony byk.

– No, no! Co to jest? Proszę mnie puścić! No, panie!

Archie otworzył gwałtownie drzwi bez pukania.

– Dowódca „Patny”, panie kapitanie! – krzyknął. – Proszę, niech pan wejdzie.

Widział, jak starszy podniósł głowę znad papierów tak gwałtownie, że aż binokle spadły mu z nosa. Archie zatrzasnął drzwi i uciekł do biura, gdzie różne papiery czekały na jego podpis; ale – opowiadał mi – awantura, która wybuchła w tamtym pokoju, była tak straszna, że nie mógł się na tyle opanować, aby sobie przypomnieć litery własnego nazwiska. Archie jest najwrażliwszy ze wszystkich inspektorów żeglugowych na obu półkulach. Oświadczył mi, że miał wówczas wrażenie, jakby rzucił człowieka głodnemu lwu na pożarcie. Nie ma dwóch zdań, hałas był wielki. Słyszałem go z dołu i mam wszelkie dane po temu, że słyszano go wyraźnie poprzez całą Esplanadę aż do pawilonu dla orkiestry. Stary dziadzio Elliot posiadał wielki zasób słów i umiał krzyczeć, a wszystko mu było jedno na kogo. Byłby krzyczał i na samego wicekróla. Mawiał do mnie nieraz w te słowa:

– Wyższego stanowiska już nie dostanę; emeryturę mam zapewnioną. Odłożyłem sobie tam z parę funtów i jeśli się moje poglądy na obowiązek komu nie podobają, każdej chwili mogę wrócić do kraju. Jestem starym człowiekiem i zawsze mówiłem otwarcie, co myślę. Teraz chodzi mi tylko o to, żeby przed śmiercią wydać za mąż moje dziewczęta.

Miał na tym punkcie lekkiego bzika. Jego trzy córki były strasznie miłe, choć zdumiewająco przypominały ojca, a w te ranki, kiedy stary Elliot budził się z ponurym przeczuciem co do ich matrymonialnych widoków, całe biuro wyczytywało to z jego oczu i trzęsło się, ponieważ, jak mówiono, kapitan z pewnością pożre kogoś na śniadanie. Jednak owego ranka nie pożarł renegata, ale – jeśli mi wolno doprowadzić metaforę do końca – zżuł go na miazgę, że tak powiem, i – ach! wypłuł go.

Tedy w bardzo krótkim czasie ujrzałem znów potworną postać szypra, który zbiegł po stopniach w pośpiechu i zatrzymał się u zewnętrznych schodów. Przystanął blisko mnie i zamyślił się głęboko; jego wielkie, purpurowe policzki drgały. Gryzł wielki palec, a po chwili zauważył mnie i zmierzył społem łba wściekłym spojrzeniem. Trzej inni, którzy z nim wylądowali, tworzyli małą gromadkę czekającą opodal. Był wśród nich wybladły, niepozorny człowieczek z ręką na temblaku i długi osobnik w granatowym flanelowym kaftanie, suchy jak wiór i nie grubszy niż kij od szczotki; miał obwisłe, siwe wąsy i rozglądał się z niefrasobliwą głupotą. Trzecim był prosto się trzymający, barczysty młodzieniec z rękami w kieszeniach, zwrócony tyłem do tamtych dwóch, którzy zdawali się prowadzić jakąś poważną rozmowę. Patrzył poprzez pustą Esplanadę. Zniszczony, okryty pyłem powozik z żaluzjami zatrzymał się naprzeciw tej grupy i woźnica, położywszy prawą nogę na kolanie, oddał się krytycznemu przeglądowi swych palców. Młody człowiek stał nieruchomo, nie poruszając nawet głową, i patrzył po prostu w blask słońca. Oto, jak po raz pierwszy ujrzałem Jima. Wyglądał tak obojętnie i nieprzystępnie, jak to się zdarza tylko u młodych. Stał trzymając się mocno na nogach, harmonijnie zbudowany, z twarzą pełną szczerości i robił wrażenie najbardziej obiecującego chłopca pod słońcem; a gdy tak na niego patrzyłem, wiedząc o wszystkim, co on wiedział, i jeszcze oparu rzeczach poza tym, zdjął mnie gniew, jakbym go przyłapał na wyludzaniu czegoś ode mnie pod fałszywym pozorem. Nie powinien był tak wyglądać. Pomyślałem sobie w duchu – no, jeśli człowiek tego rodzaju może zjechać na psy... i zdawało mi się, że ze zmartwienia cisnę na ziemię kapelusz i podepczę go – widziałem raz, jak to zrobił szyper włoskiego barku, ponieważ jego cymbał pomocnik poplątał coś z kotwicami, gdy w biegu cumował się do boi kotwicznej na redzie pełnej statków.

Zapytywałem siebie patrząc na pozorną swobodę tego chłopca – czy on jest taki ograniczony, czy też zatwardziały? Wydawało się, iż za chwilę zacznie pogwizdywać. A zważcie, że zachowanie tamtych dwóch nic a nic mnie nie obchodziło. Ich osoby pasowały jakoś do historii, która była na wszystkich językach i miała się stać przedmiotem urzędowego śledztwa.

– Ten stary bzik, ten łotr tam na górze nazwał mnie psem – rzekł kapitan „Patny”.

Nie zdaję sobie sprawy, czy mię poznał – myślę, że raczej tak, ale w każdym razie nasze spojrzenia się spotkały. Wytrzeszczył na mnie oczy, a ja się uśmiechnąłem: pies był najłagodniejszym z epitetów, które dosięgły mnie przez otwarte okno.

– Doprawdy – rzekłem, bo dziwnie jakoś język mię świerzbil. Szyper kiwnął głową, przygryzł znów wielki palec, mruknął jakieś przekleństwo; wreszcie podniósł głowę i rzekł patrząc na mnie z posępną i zażartą bezczelnością:

– Co mi tam! Pacyfik jest wielki, mój przyjacielu. Choćbyście pękli, nic mi nie zrobicie, przekłete Angliki; wiem dobrze, gdzie się znajdzie w bród miejsca dla takiego jak jak człowieka; mam dużo znajomych w Apia, w Honolulu, w...

Urwał i namyślał się, a ja mogłem sobie wyobrazić bez trudu „znajomych”, z którymi przestawał w owych miejscowościach. Nie będę taił, że i ja także przestawałem z wielu ludźmi tej kategorii. Bywają czasy, kiedy człowiek musi postępować tak, jakby życie było jednakowo słodkie w każdym towarzystwie, przeżywałem i takie czasy, i co więcej, nie myślę teraz stroić nad tym smętnych min, gdyż niejedyn człowiek z owego złego towarzystwa – wskutek braku moralnego... moralnego... jakby to powiedzieć? nastawienia lub wskutek innej, równie głębokiej przyczyny – był dwakroć ciekawszy i stokroć zabawniejszy niż zwykły szacowny kupiec-szachraj, którego zapraszacie do stołu bez żadnej istotnej potrzeby – z przyzwyczajenia, z tchórzostwa, z dobroduszości, z tysiąca przyczyn obłudnych i niewłaściwych.

– Wszyscyście dranie, wy, Angliki – ciągnął mój patriotyczny Australijczyk ze Szczecina czy Flensburga.

Nie pamiętam już teraz, który z porządnych małych portów bałtyckich był gniazdem tego cennego ptaka.

– Jakim prawem pan na mnie krzyczy? Co? Odpowiadaj pan! Nie jesteś pan lepszy od innych, a ten stary, zbzikowany drań urządził mi wściekłą awanturę.

Opasłe cielsko szypra drżało na nogach podobnych do dwóch słupów; drżało od stóp aż do głowy. – To u was, Anglików, jest w zwyczaju wyprawianie piekielnych awantur o lada głupstwo, dlatego że się człowiek nie urodził w waszym, psiakrew, kraju. Odbierze mi świadectwo. A odbieraj sobie! Nie potrzebuję żadnego świadectwa. Taki człowiek jak ja nie potrzebuje waszych *verfluchte*⁶ świadectw. Pluję na nie. – Splunął. – Przyjmuję obywatelstwo amerykańskie – krzyczał pniąc się z wściekłości i suwając nogami, jakby je chciał wyswobodzić z jakiegoś niewidzialnego, tajemniczego uchwytu, który nie pozwalał mu ruszyć z miejsca.

Taki był rozgorączkowany, że z jego okrągłej głowy literalnie się dymiło. Przyczyna, która nie pozwalała mi odejść, nie była wcale tajemnicza: ciekawość jest najbardziej zrozumiałym z uczuć i ona to właśnie trzymała mię na miejscu; pragnąłem się przekonać, jakie wrażenie wywrze wiadomość o wszystkim, co zaszło, na tym chłopcu, który z rękami w kieszeniach stał tyłem do trotuaru, spoglądając ponad trawniki Esplanady ku złotemu portykowi hotelu „Malabar”, i miał minę człowieka wybierającego się na spacer, z chwilą gdy jego kolega będzie gotów. Tak właśnie wyglądał i to było wstrętne. Czekałem, chcąc zobaczyć, jak go owa wiadomość przytłoczy, zmiesza, przebiję na wskroś; sądziłem, że będzie się wił jak chrząszcz nadziany na szpilkę – i bałem się to zobaczyć – nie wiem, czy mię rozumiecie. Nic okropniejszego, jak śledzić człowieka, który został przyłapany nie na zbrodni, lecz na gorszej niż zbrodnia słabości. Przeciętna moralna dyscyplina nie pozwala nam popełniać zbrodni – w prawnym znaczeniu tego wyrazu; ale nikt z nas nie czuje się bezpieczny wobec jakiejś

⁶ *verfluchte* (niem.) – przekłete. [przypis edytorski]

słabości nieznannej – choć może podejrzewanej, tak jak w niektórych częściach świata podejrzewamy, że każdy gąszcz kryje jadowitego węża; wobec słabości, która się może przyzaić w ukryciu, czy ją śledzimy, czy też nie – od której szukamy ucieczki w modlitwie albo gardzimy nią po męsku; którą tłumimy lub też nie wiemy, że istnieje przez więcej niż pół życia. Człowiek daje się zniecka wciągając w sprawy, za które mu wymyślają, albo w sprawy trącające szubienicą, a jednak duch jego może przetrwać to wszystko – przetrwać ogólne potępienie, a nawet i stryczek – zaiste! A zdarzają się czasem rzeczy – na pozór dość błahe – które zupełnie gubią pewnych ludzi. Obserwowałem tego młodego chłopca. Podobał mi się z powierzchowności; znałem ludzi tego typu; pochodził z dobrego gniazda – był jednym z nas. Przedstawiał tu cały pokrewny mu rodzaj, kobiet i mężczyzn ani szczególnie zdolnych, ani bardzo zajmujących – ludzi, których istnienie opiera się po prostu na uczciwej wierze i instynktownej odwadze. Nie chodzi mi o odwagę wojskową ani odwagę cywilną, ani żaden specjalny rodzaj odwagi. Mam na myśli tę wrodzoną zdolność do spojrzenia pokusie prosto w oczy – gotowość bynajmniej nie intelektualną, lecz pozbawioną pozy – odporność, być może, wyzbytą z wdzięku, ale bezcenną – instynktowną i błogosławioną, nieugiętość wobec zewnętrznych i wewnętrznych trwóg, wobec potęgi przyrody, wobec kuszącego ludzkiego zepsucia – nieugiętość popartą przez wiarę, która nie ulega sile faktów, niedostępna jest dla zarazy przykładu, dla ponęt idei. Precz z ideami! To są włóczęgi, łaziki, co się dobierają do tylnych drzwi duszy, aby cząstka po cząstce unosić naszą istotę; aby wykradać okruchy wiary – tej wiary w parę prostych pojęć, których człowiek musi się trzymać, jeśli chce żyć przyzwoicie i mieć lekką śmierć.

Wszystko to nie ma nic wspólnego z Jimem; ale jego wygląd był typowym wyglądem człowieka z tego zacnego, rzadkiego gatunku, który przyjemnie jest czuć wkoło siebie; gatunek nie spaczony przez wybryki inteligencji i dziwactwa... dziwactwa, powiedzmy, nerwów. Był to rodzaj człowieka, któremu by się oddało – na podstawie jego wyglądu – statek w opiekę, mówiąc dosłownie i w przenośni. Twierdzę, że byłbym to zrobił, a powinienem się przecieżyć znać na tym. Czyż swego czasu nie wychowałem sporo chłopców, aby służyli brytyjskiej banderze, aby uprawiali ten zawód, którego cała tajemnica da się zawrzeć w jednym krótkim zdaniu – a jednak trzeba ją wbijać dzień po dniu w młode głowy, póki się nie stanie składową częścią każdej ich myśli na jawie – póki nie zawładnie każdym snem ich młodości! Morze było dla mnie łaskawe, ale kiedy sobie przypominę wszystkich tych chłopców, co przeszli przez moje ręce – niektórzy z nich są już dorośli, inni utonęli w morzu, a wszyscy byli dobrym materiałem na marynarzy; kiedy ich sobie przypominam, nie sądzę wcale, aby moja praca była jałowa. Gdybym jutro miał się znaleźć w kraju, założę się, że przed upływem dwóch dni jakiś opalony młody pierwszy oficer przyłapałby mię u wejścia do któregoś z doków i zapytałby czystym, głębokim głosem: „Czy pan mnie pamięta, panie kapitanie? Przecież jestem mały ten a ten. Taki a taki okręt. To była moja pierwsza podróż”. A mnie by stanął w pamięci onieśmielony brzdąc, nie wyższy od poręczy tego krzesła, odprowadzany przez matkę, a często i dorosłą siostrę; widzę, jak stoją obie na bulwarze, bardzo spokojne, lecz zbyt wzruszone, by powiewać chustką ku statkowi, co sunie powoli między dwoma występami mola; lub może przypomniabym sobie jakiego zacnego ojca w średnich latach, który przybył wcześniej, aby odprowadzić swego chłopca, i został na pokładzie przez cały ranek, okazując niezmierne zainteresowanie wyciągiem kotwicznym; został za długo – i musi gramolić się na brzeg w ostatniej chwili, kiedy nie ma już czasu się żegnać. Pilot na rufie woła do mnie przeciągając śpiewnie: „Panie pomocniku, niech no pan przytrzyma linę na chwilę. Tu jest jeszcze jeden pan, co chce wysiąść. No, dalej, panie! Mało brakowało, abyśmy powieźli pana do Talcahuano! Teraz niech pan wysiada; powoli... Dobrze. Puszczajcie tam linę na przodzie”. Holowniki, dymiące jak otchłań potępienia, pochwyciły nas i młóca starą rzekę przyprawiając ją o wściekłość; pan na brzegu otrzepuje sobie z kurzu kolana – dobrotliwy steward rzuca za nim jego parasol. Wszystko, jak się należy. Ów pan złożył swoją ofiarę morzu, a teraz pójdzie do domu udając, że wcale o tym nie myśli – zaś ta dobrowolna ofiara w postaci jego syna bardzo będzie cierpiała na morską chorobę, nim ranek nadejdzie. Z czasem, kiedy nauczy się wszystkich mniejszych sekretów swego zawodu i jednej jego wielkiej tajemnicy – będzie zdalny do życia lub gotowy na śmierć na

morzu – zależnie od jego wyroku; a człowiek, co przykładał rękę do tej szaleńczej gry, w której morze zawsze jest górą, z przyjemnością poczuje na plecach uderzenie młodej, ciężkiej ręki i usłyszcy wesoły głos morskiego szczeniaka: „Czy pan mnie pamięta, panie kapitanie? Jestem mały ten a ten”.

Mówię wam – że to daje zadowolenie; świadczy, że przynajmniej raz w życiu człowiek wykonał robotę, jak się należy. Trzepnięto mnie tak nieraz w plecy; wzdygałem się, bo uderzenie było silne, a potem cieszyłem się przez cały dzień i kładąc się do łóżka, czułem się mniej samotny na świecie dzięki temu serdecznemu trzepnięciu. Ja bym nie miał pamiętać tych smyków! Mówię wam, że chyba się znam na tym, jak przywoity człowiek powinien wyglądać. Byłbym powierzył temu młodzikowi statek na podstawie jednego rzuconego na niego spojrzenia, zasnąłbym najspokojniej i – jak mi Bóg miły – to by nie było bezpieczne. Całe głębie zgrozy są w tej myśli. Wyglądał pełnowartościowo jak nowa moneta – a jednak była w tym metalu jakaś szatańska domieszka. Jak dużo jej było? Tylko odrobina, kropelka czegoś niezwykłego i przekłętego – drobnitka kropelka! Gdy tak stał z tą swoją niedbałą, lekceważącą miną, zadałem sobie pytanie – czy nie jest on przypadkiem ulany z metalu bardzo pospolitego?

Trudno mi było w to uwierzyć. Pragnąłem ujrzyć jego udękę – pragnąłem tego dla honoru mego zawodu. Tamci dwaj faceci spostrzegli swego kapitana i ruszyli z wolna w naszą stronę. Rozmawiali idąc ku nam powoli i tak zupełnie nie brałem ich pod uwagę, jakby się ich wcale gołym okiem nie dostrzegało. Szczerzyli zęby do siebie; opowiadali sobie pewnie jakieś kawały, o ile mogłem sądzić. Widziałem, że jeden z nich ma złamaną rękę; drugi zaś – wysokie indywidualum o siwych wąsach, główny mechanik – była to z wielu względów wcale znana osobistość. Jeden z drugim – nicłość zupełna. Zbliżali się. Szyper patrzył martwo w jakiś punkt między swymi stopami; zdawało się, że spuchł do nienaturalnych rozmiarów wskutek jakiejś okropnej choroby lub tajemniczego działania nieznannej trucizny. Podniósł głowę, ujrzał przed sobą tych dwóch czekających na niego, otworzył usta z dziwnym, szyderczym grymasem na rozdętej twarzy – pewnie, aby coś im powiedzieć – gdy wtem uderzyła go widać jakaś myśl. Jego grube, prawie fioletowe wargi zamknęły się bez dźwięku; ruszył stanowczym krokiem ku powozikowi, kołysząc się jak kaczka, i zaczął szarpać klamkę drzwiczek z tak brutalną niecierpliwością, że zdawało się – cała buda przewróci się razem z kucykiem. Woźnica, wyrwany z medytacji nad swoją stopą, ujawnił natychmiast wszystkie oznaki potężnego strachu i trzymał się kozła oburącz, patrząc na pękate cielsko torujące sobie drogę do jego wehikułu. Mały powozik trząsł się i kiwał hałaśliwie, a pochylony, szkarłatny kark szypra, objętość wyprężonych ud, olbrzymie, falujące, brudne plecy w pasy zielone i pomarańczowe, cały wysiłek tej jaskrawej i niechlujnej bryły mącił moje poczucie rzeczywistości, wywierając śmieszne i groźne wrażenie, niby groteskowe, wyraźne majaki, które przerażają i fascynują nas w gorączce. Oczekiwałem niemal, że dach się rozpadnie na dwoje, że małe pudło na kołach pęknie na kształt dojrzałego strąka bawełny – lecz tylko opadło niżej z brzękiem spłaszczonych sprężyn i nagle jedna z żaluzji opuściła się grzechocząc. Ukazały się znów ramiona wciśnięte w mały otwór i wychylona głowa szypra, rozdęta i podskakująca jak balon na uwięzi, spocona, wściekła, bełkocząca. Sięgał ku woźnicy wywijając wściekle opasłą pięścią, czerwoną jak kawał surowego mięsa. Ryknął na niego, żeby ruszał, żeby jechał. Dokąd? Może na sam środek Pacyfiku. Woźnica zaciął kuca, który parsknął, wspiął się na tylne kopyta i puścił z miejsca galopem. Dokąd? Do Apia? Do Honolulu? Dowódca „Patny” miał przed sobą sześć tysięcy mil pasa podzwrotnikowego, gdzie się mógł rozbijać do woli, a dokładnego adresu nie słyszałem. Parskający kuc porwał go w *Ewigkeit*⁷ w mgnieniu oka i nigdy go już nie zobaczyłem; co więcej, nie znam nikogo, kto by widział go kiedykolwiek od chwili, gdy znikł mi z oczu siedząc w małym, roztrzęsionym powoziku, który zakręcił gwałtownie na rogu ulicy w białym tumanie pyłu. Odjechał, znikł, przepadł, uszedł; i w jakiś idiotyczny sposób wyglądało to, jakby zabrał z sobą i ten powozik, bo nigdy już więcej nie zobaczyłem gniadego kuca o rozciętym uchu i niemrawego woźnicy, Tamila, o chorej nodze. Pacyfik jest wielki zaiste; nie wiem, czy szyper znalazł

⁷ *Ewigkeit* (niem.) – wieczność. [przypis edytorski]

na nim miejsce dla rozwijania swych talentów, pozostaje jednak faktem, że uniósł się w przestrzeń jak czarownica na miotle. Mały człowieczek z ręką na temblaku zaczął tak biec za powozikiem becząc: „Kapitanie! Hej, kapitanie! He-e-ej!”, ale po kilku krokach zatrzymał się, zwiesił głowę i ruszył wolno z powrotem. Na ostry zgrzyt kół młody człowiek obrócił się na pięcie. Nie zrobił żadnego innego ruchu, gestu czy znaku i pozostał tak, zwrócony w nowym kierunku, choć powozik już zniknął.

Wszystko to zajęło znacznie mniej czasu niż moje opowiadanie, ponieważ usiłuję wytłumaczyć wam dokładnie błyskawiczne wrażenia wzrokowe. W następnej chwili zjawił się na scenie urzędnik Metys; został wysłany przez Archiego, aby się trochę zająć biednymi rozbitkami z „Patny”. Wybiegł skwapliwie z gołą głową, patrząc w prawo i lewo, bardzo swą misją przejęty. Nie miała mu się powieść, jeśli chodzi o główną osobę, lecz zbliżył się do pozostałych z hałaśliwą arogancją i wplątał się prawie natychmiast w gwałtowną kłótnię z facetem, który miał rękę na temblaku i który, jak się okazało, pożył namiętnie awantury. Ów facet oświadczył, że ani myśli pozwolić, aby mu rozkazywano – jeszcze czego, do jasnej cholery! Nie zastraszą go łgarstwa takiego zarozumiałego mieszańca, gryzipiórka. Nie pozwoli sobą pomiatać „byle chłystkowi”, nawet jeśli ta cała historia okazała się rzeczywiście prawdziwa. Wrzasnął, że chce, że pragnie, że musi położyć się do łóżka. Słyszałem, jak wrzeszczał: „Gdyby pan nie był zatraconym Portugalczykiem, wiedziałby pan, że moje miejsce jest tylko w szpitalu”. Podsunął pięść zdrowej ręki pod nos tamtego; zaczął się zbierać tłum; zmieszany Metys usiłując zachować minę pełną godności tłumaczył, jak mógł, swoje zamiary. Odszedłem nie doczekawszy się końca.

Tak się jednak złożyło, że w tym samym czasie jeden z moich ludzi leżał w szpitalu, i gdy w przeddzień rozpoczęcia sprawy poszedłem go odwiedzić, zobaczyłem w oddziale dla białych owego człowieczka, który miotał się na łóżku, z ręką w łupkach, zupełnie nieprzytomny. Ku memu wielkiemu zdumieniu towarzysz jego, długi osobnik o białych, obwisłych wąsach, znalazł się tam również. Pamiętałem, że go widział uchodzącego chyłkiem w czasie kłótni; kroczył z powagą, suwając nogami, i starał się ze wszystkich sił nie dać poznać po sobie, że się boi. Port był mu widać znany; pomimo strapienia potrafił od razu wytropić szynk Marianiego z bilardowym pokojem koło bazaru. Ten nędzny włóczęga, Mariani, który znał mechanika i schlebiał jego nałogom już w paru innych miejscowościach, padł mu do nóg, że się tak wyrażę, i zamknął go z baterią butelek na piętrze swojej nędznej lepianki. Okazało się, iż mechanik miał jakieś niejasne obawy co do swego bezpieczeństwa, i chciał się ukryć. Mariani mówił mi w długi czas później (gdy przyszedł raz na pokład wydebić na moim stewardzie zapłatę za jakiś cygara), że bez żadnego wahania byłby zrobił dla mechanika i więcej, z wdzięczności – o ile zrozumiałem – za jakąś podejrzaną usługę, którą mu tamten wyświadczył przed wielu laty. Mariani palnął się dwakroć w muskularną pierś i potoczył olbrzymimi, czarno-białymi oczami błyszczącymi od łez: „Antonio nie zapomina – Antonio nigdy nie zapomina!” Jakiego właściwie rodzaju było to niemoralne zobowiązanie, nie dowiedziałem się nigdy, lecz tak czy owak, Mariani ułatwił mechanikowi, zdjętemu wariackim strachem, ukrycie się w zamkniętym na klucz pokoju – z krzesłem, stołem, materacem leżącym w kącie i warstwą opadłego tynku na podłodze – gdzie mógł się pokrzącać wszystkimi możliwymi trunkami, którymi Mariani rozporządzał. Trwało to aż do wieczora trzeciego dnia, kiedy mechanik krzycząc wniebogłosy musiał szukać ratunku w ucieczce przed legionami stonóg. Wywalił drzwi, rzucił się na łeb na szyję ze zmurszałych, wąskich schodków, wylądował na brzuchu Marianiego, pozbierał swoje gnaty i wypadł na ulicę jak strzała. Nazajutrz wczesnym rankiem policja podniosła go z kupy śmieci. Wyobrażał sobie z początku, że prowadzą go na szubienicę, i jak lew walczył, aby się oswobodzić; ale gdy zasiadłem przy jego łóżku, leżał już od dwóch dni bardzo cicho. Jego chuda, opalona na brąz twarz z białymi wąsami wyglądała na poduszce pięknie i spokojnie jak twarz wycieńczonego przez wojnę żołnierza o dziecięcej duszy; lecz w bezbarwnym połysku spojrzenia czyhał cień upiornego niepokoju, podobny do zgrozy wcielonej w jakąś nieokreśloną postać, czającą się po cichu za taflą szkła. Był taki spokojny, że oddałem się dziwacznej nadziei, iż usłyszę od niego jakieś komentarze do rozgłosnej historii z „Patną”. Dlaczego pragnąłem się grzebać w oplakanych szczegółach wypadku,

który właściwie obchodził mnie tylko jako członka nieznannej ludzkiej społeczności, zjednoczonej przez wspólny niesławny znój i wierność dla pewnej modły postępowania – tego wytłumaczyć nie umiem. Może wam się podoba nazwać to jakąś niezdrową ciekawością; lecz ja mam wrażenie, że chciałem do czegoś dotrzeć. Może tkwiła we mnie podświadoma nadzieja, że znajdę to coś, tę jakąś głęboką, odkupiającą przyczynę, miłosierne wyjaśnienie, cień przekonywającej wymówki. Widzę teraz dokładnie, że pragnąłem niemożliwości, że usiłowałem odżegnać coś, co jest najuporczywszym z upiórów stworzonych przez człowieka: jątrzące zwątpienie, które się podnosi jak mgła, a mrozi bardziej niż pewność śmierci, ukryte i toczące niby robak – zwątpienie o tym, że istnieje władająca nami potęga uznana jako ustalony wzór postępowania. Takie zwątpienie jest najniebezpieczniejszą z przeszkód, o które człowiek może się potknąć; wywołuje wrzaskliwy popłoch i dobrodusze, spokojne podłostki; jest widmem prawdziwej klęski. Czyżbym wierzył wówczas w możliwość cudu? I dlaczego pragnąłem go tak gorąco? Czy ze względu na samego siebie pragnąłem znaleźć choćby cień czegoś, co by mogło wytłumaczyć postępek Jima – tego Jima, którego nigdy przedtem nie widziałem? Już sam jego wygląd sprawił, że rozmyślając o jego załamaniu się, zainteresowałem się nim głęboko, że jego postępek był dla mnie tajemnicą pełną grozy – jakby przebłyskiem zgubnego losu czyhającego na nas wszystkich – których młodość była ongi podobna do jego młodości. Obawiam się, że na tym właśnie polegał tajny powód mego wścibstwa. Oczekiwałem zaprawdę cudu. Jedyna rzecz, która teraz, z odległości czasu, uderza mnie jako zakrawająca na cud, to bezmiar mojej głupoty; bo miałem wówczas doprawdy nadzieję, że uzyskam od tego pogiębionego, mglistego osobnika egzorcyzm przeciwko duchowi zwątpienia. A przy tym musiałem być doprawdy szalony, bo nie tracąc czasu – po kilku uprzejmych i przyjaznych zdaniach, na które maszynista odpowiedział z gotowością, osłabłym głosem, jak przystoi dobrze wychowanemu choremu – wyjechałem ze słowem „Patna”, owiniętym w delikatne pytanie, niby w puch jedwabnej przędzy. Moja delikatność płynęła z egoizmu – nie chciałem chorego spłoszyć; troskliwość nie miała z tym nic wspólnego; anim się na niego wściekał, anim go żałował; jego przeżycia były bez znaczenia, jego zbawienie nic by mnie nie obeszło. Postarzał się wśród drobnych podłostek i nie mógł już wzbudzać ani wstępu, ani litości. Powtórzył pytająco: „Patna?”, zdawał się wyteżać przez chwilę pamięć i rzekł:

– Aha. Znam to wszystko jak własną kieszeń. Widziałem, jak tonęła.

Chciałem dać ujście swemu oburzeniu wobec tego idiotycznego kłamstwa, gdy dodał gładko:

– Pełna była gadów.

To mnie zatrzymało. Co on chciał przez to powiedzieć? Miałem wrażenie, że niespokojny upiór strachu znieruchomiał za jego szklistym wzrokiem i tęsknie spojrzął mi w oczy.

– Wyrzucili mnie z koi podczas nocnej wachty, żebym widział, jak tonie – dodał z namysłem.

Głos jego zabrzmiał nagle z niepokojącą siłą. Zawstydzilem się swojej głupoty. W perspektywie sali nie dostrzegało się śnieżnoskrzydłego kornetu pielęgniarki, lecz daleko, pośród długiego rzędu pustych żelaznych łóżek, jakiś człowiek, który uległ wypadkowi na statku w Roads, dźwignął się na posłaniu, opalony i chudy, z czołem przewiązany bandażem na ukos. Nagle mój interesujący chory wyciągnął gwałtownie ramię cienkie jak u ośmiornicy i wpił mi się palcami w łokieć:

– Tylko moje oczy mogły to dostrzec. Jestem znany ze swego wzroku. Pewnie dlatego mnie zawołali. Żaden z nich nie miał dość bystrych oczu, aby dojrzeć, jak „Patna” tonie, ale przekonali się jednak, że zatoneła, i krzyknęli wszyscy razem – o tak... – Wycie podobne do wilczego przejęło mnie do szpiku kości.

– Ach, niechże pan zatka mu gębę – irytował się płacząco człowiek, który uległ wypadkowi.

– Zdaje się, że pan mi nie wierzy – ciągnął tamten z niesłychanie zarozumiałą miną. – Mówię panu, nie ma takich oczu jak moje po tej stronie Zatoki Perskiej. Niech pan zajrzy pod łóżko.

Naturalnie, schyliłem się natychmiast. Któż by tego nie zrobił?

– Co pan tam widzi? – rzekł.

– Nic – odpowiedziałem i zawstydzilem się strasznie samego siebie. Spojrzął na mnie badawczo z dziką i miażdżącą pogardą.

– Otóż to właśnie – powiedział – ale gdybym ja tam spojrział, to bym zobaczył – mówię panu, nie ma takich oczu jak moje. – Wpił mi się znowu w ramię i ciągnął mnie ku sobie szukając ulgi w poufnym zwierzeniu: – Miliony różowych ropuch. Nie ma takich oczu jak moje. Miliony różowych ropuch. To jest gorsze niż widok tonącego statku. Mógłbym cały dzień patrzeć na tonące statki i palić fajkę. Dlaczego mi nie oddadzą mojej fajki? Paliłbym sobie pilnując tych ropuch. Statek był pełen ropuch. Pan rozumie, ich trzeba pilnować!

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.